



MIESIĘCZNIK  
POLITYCZNY

# WYZWOLENIE

DESPOTYZM

KRAJCZYSTWO

nr 2 (17) 1986

# NIEPODLEGŁOŚĆ

Polska nigdy nie była niczym wasalem.  
 Była w niewoli,  
 była pod okupacją,  
 ale nigdy nie kłaniała się obcym królom  
 ani carom.

A jeśli ktokolwiek z Polaków to czynił,  
 to tylko zdrajcy i szubrawcy.

ks. Teofil Bogucki

#### W numerze:

Odpowiedź na apel "Do braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów"	3
Zamiast wstępu	4
Kazimierz Sabbat Prezydentem RP	6
Kwestia legalizmu	7
Deklaracja polsko-czechosłowacka	8
Kząd pamięci	11
Pen nie jest dla mnie wojewodą...	16
Kluby Myśli Robotniczej	18
Telefon do Szczypińskiego	20
Rozmowa z Guy Sormanem	22
Revolucja konserwatywna w Ameryce (recenzja)	23
Nowy kapitalizm	26
Ameryka, Ameryka	30
Pomóż sobie sam	34
Szpieg	35
Real soc czyli przedłużanie szyjki	38

=====

Teksty sygnowane przez Ruch Polityczny WYZWOLENIE wyrażają oficjalne stanowisko Ruchu, za teksty pozostałe odpowiada redakcja.

Odpowiedź na nasz apel "Do braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów"

STANOWISKO KONFERENCJI  
UKRAIŃSKICH PARTII I ORGANIZACJI POLITYCZNYCH  
W KWESTII STOSUNKÓW UKRAIŃSKO-POLSKICH

Niedawno Prezydium Konferencji Ukraińskich Partii i Organizacji Politycznych, w ramach której współpracują: Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów - Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów za granicą - OUN-z, Rada Sympatyków Ukraińskiej Republiki Ludowej - RP UNR, Związek Ziemi Zjednoczonej Ukrainy - Chłopska Partia - SZSU-SP, Ukraiński Ruch Demokratyczny - UDR, Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne - UNDO, Ukraińska Partia Rewolucyjno-Demokratyczna - URDP i Ukraińska Partia Socjalistyczna - USP, otrzymało propozycję przedstawicielstwa czterech polskich formacji politycznych działających we współczesnej Polsce w sprawie zacieśnienia współpracy polsko - ukraińskiej w oparciu o ich postanie "Do Braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów". W Apelu tym, jak wiadomo, cztery polskie formacje polityczne: Ruch Polityczny "Wyzwolenie", Liberalno-Demokratyczna Partia "Niepodległość", Grupa Polityczna "Wola" oraz Organizacja Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość proponują aby przerwać spory prowadzone w kwestii granic między zainteresowanymi narodami przyjmując obecne granice między USRR, BSRR, LSRR i PRL. Ukraińskie partie i organizacje polityczne, które współpracują w ramach KUPPO, witają ten Apel i uważają, iż stanowią on ważny krok na drodze zacieśnienia współpracy między Ukraińcami, Polakami, Białorusinami i Litwinami w walce o przywrócenie niepodległości naszym narodom na ich własnych terytoriach oraz że jest on ważną podstawą dla przyszłego dobrosąsiedzkiego współżycia między naszymi narodami. Partie i organizacje KUPPO witają śmiało postawę polskich formacji politycznych w ich walce o wolność narodu polskiego, a zwłaszcza witają państwowotwórczą inicjatywę tych organizacji w kwestii granic między narodami wschodnioeuropejskimi. Jesteśmy świadomi faktu, że ustalenie obecnych granic było rezultatem porozumienia uczestników nieszczęsnej Konferencji Jałtańskiej i nie są one wyrazem swobodnej woli naszych narodów. Uznając jednak stan obecny jako realnie istniejący fakt, komunikujemy nasze zasadnicze stwierdzenie, iż nikt na świecie nie ma prawa rozstrzygać problemu granic naszych państw poza naszymi narodami i wybranymi przez nie organami państwowymi w naszych wolnych i suwerennych państwach. Przyjmując przyjacielskie propozycje wymienionych polskich formacji politycznych, oświadczamy o naszej gotowości do szukania z nimi, a także z innymi przyjacielskimi formacjami narodu białoruskiego, litewskiego i innych sąsiednich narodów Europy Środkowo-Wschodniej, ścisłej współpracy we wspólnej dla nas sprawie walki przeciw imperializmowi moskiewskiemu - a jednocześnie - kunistycznemu, który zniewala nasze narody. Nasze stanowisko notyfikujemy przedstawicielstwu wymienionych polskich formacji politycznych i proponujemy odbycie wspólnej konferencji zainteresowanych formacji dla nakreślenia konkretnych planów naszej współpracy.

KONFERENCJA UKRAIŃSKICH PARTII I ORGANIZACJI POLITYCZNYCH

Na obczyźnie - Maj 1986 rok.

## Zamiast wstępu

Dość często docierają do nas głosy, że z małymi wyjątkami prasa niezależna zajmuje się wielką polityką i wewnętrznymi sporami, zbyt mało natomiast poświęca miejsca na sprawy, które dotyczą naszego codziennego bytowania, naszego "tu i teraz". Mówi się, że właściwie to nie ma żadnego sensownego programu, że nie wiadomo, czego się trzymać.

Trudno jest odparować takie zarzuty, bo są one poniekąd słuszne. Ale tylko poniekąd. Bowiem rozmówcy w takiej sytuacji oczekują prostej, jasnej odpowiedzi, a taka nie istnieje. Trudno poza tym dziwić się, że niektórzy czują się zagubieni. To zrozumiałe. Zasadnicza trudność polega jednak na tym, że tym zagubionym chodzi o to, aby to ktoś wskazał im łatwą drogę wyjścia. Sami szukać nie chcą czy nie potrafią, a na trudności się nie godzą. Najtrudniej bowiem przyjąc do wiadomości, że proste i łatwe rozwiązanie naszych problemów po prostu nie istnieje.

Zarzut, że prasa niezależna zajmuje się polityką "z górnych regionów" jest o tyle nieuzasadniony, że przecież wszystko, co dzieje się na co dzień jest pochodną tejże polityki. W krajach o innych systemach społecznych i politycznych można przeżyć godnie i przyzwolcie całe życie, nie zajmując się zupełnie sprawami politycznymi. W naszym kraju, niestety, jest to niemożliwe, jako że polityka opanowała wszystkie dziedziny życia i wszystkich - w większym czy mniejszym stopniu - uzależniła od siebie. Oczywiście, można nie być działaczem politycznym, ale nie można być apolitycznym, ponieważ nasze codzienne, zwyczajne zachowanie może albo ten system umacniać, albo go osłabiać. Każde nasze ustępstwo sprzeczne z naszymi przekonaniami jest aktem umacniania systemu. Każde: "Wiesz, ja tak wcale nie myślę, ale, rozumiesz, ja muszę" jest przyzwoleniem na zniewolenie. Nikt nikogo pod karabinami do urn nie pędził, a mimo to mniej więcej połowa Polaków, w tym co najmniej trzy czwarte tylko ze strachu /przed czym?/ poszła do urn wyborczych oddając swój głos przyzwalając na niewolę. I jeszcze do tego wzdychali: "Ach, bo gdyby to tak wszyscy..." nie pamiętając, że na pojęcie "wszyscy" składa się suma pojęć "każdy". Każdy, a więc ja też.

W narzekaniu na brak programu odbija się nasze czterdziestoletnie wychowanie w systemie zaprogramowanym. Odbija się echem wpajany nam nawyk, że remedium na wszystkie niedostatki jest "opracowanie programu naprawy". Czy ktoś mógłby podać jednak choć jeden przykład, że jakiś program, nieważne, czy dobry, został zrealizowany? Przyszło nam żyć w systemie sztucznym, nienaturalnym, wymyślonym przez ludzką pychę, której wydawało się, że można przeskoczyć i ominąć wielowiekowe doświadczenia ludzkości. Że możliwe jest zorganizowanie społeczeństwa wbrew naturalnym ludzkim skłonnościom, nasykom i przywarom. Od kilkudziesięciu lat możemy obserwować wyniki tych dążeń, a mimo to ciągle wielu z nas wierzy w cudowne działanie programu. Życia zaprogramować się nie da. Ani zbiorowego, ani indywidualnego. Życie jest wypadkową naszych zamierzeń, pragnień, działań celowych, gry przypadków, zdarzeń losowych, wypadkową wykorzystanych możliwości i popełnionych błędów. Oczywiście, istnieją pewne opole, którymi kierujemy się przy wyborze różnych możliwości. Częściej jednak wiemy, czego nie chcemy, niż do czego dążymy. To prawie tak, jak w pokerze - wiemy, jakie karty odrzucamy, nie wiemy, jakie dokupimy.

Tworzenie programów jest specjalnością komunistów. Tworzenie programów i przeszkadzanie każdej sensownej inicjatywie. Jeżeli jeszcze coś w naszym kraju pozostało w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, czy też

zgodnie z wolą ludzi, to zawsze wbrew systemowi i jako wynik niemal heroicznych zmagania. Nigdy jako wynik dobrej woli czy też przyzwyczajenia ze strony władzy. Złudzeniem i brakiem realizmu jest liczenie na możliwość jakiegos znośnego choćby ułożenia współżycia z czerwonymi. Gdyby bowiem komunistyczny totalitaryzm respektował jakieś normy, zasady czy porozumienia społeczne, byłby własnym zaprzeczeniem. A jednak znacząca część niezależnej opinii, wbrew wszelkim faktom, ciągle występuje z jakimiś pomysłami czy też propozycjami pod adresem władzy, głosząc tezę, że póki co, system jest trwały i niezmienny i jedyne, co w tej sytuacji można robić, to dążyć do poprawy naszego bytu. W takim dążeniu nie ma jakby niczego zdrożnego, to naturalne dążenie ludzkie. Trzeba sobie tylko dokładnie zdać sprawę, że jest to zupełnie bez sensu, bowiem, mimo rozlicznych wysiłków podejmowanych w tym względzie, jakość życia ulega wyłącznie pogorszeniu. Być może byłoby jeszcze gorzej, gdyby właśnie nie te wysiłki. Ale czy to może być celem naszej walki - żeby tylko nie było jeszcze gorzej? Być może takie minimalistyczne cele wystarczają jakiejś części ludzi. Zawsze bowiem, ilekroć jakiś rzeczywisty cel jest odległy i trudno osiągalny, choćby nawet bardzo pożądanym, pojawiają się cele zastępcze. Wobec trudno osiągalnego celu pojawiają się dwa skrajne typy postaw - pierwszy objawia się pogodzeniem z niemożnością, drugi zaś upartym i ofiarnym dążeniem do jego osiągnięcia. Pierwszy typ reprezentują "poprawiacze" systemu; ci, którzy nie ośmielają się zaproponować niczego innego, niż, żeby ten system stał się praworządny, liberalniejszy i wydajny gospodarczo. Ale, aby pozostał nadal tym samym systemem - proponują zatem rozwiązanie kwadratury koła. Ale jest jeszcze jedna ważna, nie wiem nawet czy nie ważniejsza kwestia. W dążeniu do poprawy warunków bytowania w niewoli zawarta jest zawsze jakaś zgoda na niewolę, przyznanie się do statusu niewolnika, przyzwolenie władcom na decydowanie o naszym losie. Jakaś psychiczna demobilizacja, obojętniająca wolę, paraliżująca czyn, kiedy nadejdzie ten właściwy moment. Drugi typ postawy charakteryzuje rosyjskie powiedzenie "nada stremitsia" - trzeba dążyć. Uparcie, konsekwentnie, z gotowością do ofiar. Obie te postawy wyrażają się obecnie nie tyle w podejmowanych działaniach, ile w składanych publicznie deklaracjach. Deklaracje są też ważne. Od nich zależy upowszechnianie się określonej świadomości. Jeszcze ważniejsze stają się wówczas, gdy praktycznie są jedyną formą politycznej wypowiedzi.

Jak widać - czy chcemy, czy nie, politykę zajmować się musimy. Musimy stawiać pytania i szukać na nie odpowiedzi. Od przyjętych bowiem założeń zależy sposób postępowania na co dzień, nasze "tu i teraz". I nie jest to kwestia takiego, czy innego programu, a wybór postawy. I tego musimy dokonać sami i na własny rachunek. Poczucie wspólnoty z innymi ludźmi jest ważne, bardzo ważne, ale zasadniczych wyborów nikt za nas zrobić nie może. Łatwiej jest podejmować działania wspólne, czujemy się wtedy bezpieczniej, jednak gotowość do podejmowania działań jest wynikiem naszych indywidualnych przekonań.

Corocznie 1 sierpnia na Powązkach gromadzą się tłumy warszawiaków. Składane są kwiaty, palone lampki. Ale czy tym gestom towarzyszy świadomość, że my tym poległym jesteśmy winni coś więcej, niż tylko pamięć. Że my wobec nich, a także wobec żyjących powstańców, tych którzy często po powstaniu przeszli jeszcze przez ubogie piekło, jakiś dług do spłacenia? Oni za wolność zapłacili życiem i cierpieniem. A czym my jesteśmy gotowi płacić za wolność. Nasza walka jest łatwiejsza, bo nie ryzykujemy życia. Trudniejsza, bo tak bardzo niejednoznaczna, prowadzona nie z wrogiem ubranym w obcy mundur i mówiącym obcym językiem, ale z wyniszczającym nas psychicznie i degradującym do roli przedmiotu systemem. Za tym systemem stoi wprawdzie obcy żołnierz, ale nazywa

siebie cynicznie naszym przyjacielem.

Historia nie daje nam przykładów walki cywilnej prowadzonej z totalitarnym zaborcą. Nie przystają do naszej sytuacji ani tradycje walki zbrojnej, ani hinduska odmowa współdziałania bez uciekania się do przemocy. Nie powiedzą się także próby rewindykacji praw pracowniczych, nie skutkują manifestacje i strajki. Pozostaje nam właściwie utrzymywanie niezależnego obiegu informacji, składanie oświadczeń i deklaracji, utrzymywanie sprawy polskiej na forum międzynarodowym. I dlatego może tak trudno odpowiedzieć na pytanie "co robić?" człowiekowi, który ani nie może wydawać gazetki, ani nie chce być działaczem politycznym. Bo to jest tak, że znaczna zapewne większość ludzi poparłaby czynnie takie działanie, które zwiastowałoby rychły koniec komunizmu w Polsce. Wtedy gotowi byłiby zapewne i do ryzyka. Ale robić coś, co być może przybliży ten koniec, lecz w sposób mało dostępalny, a za to może narazić na represje, albo pogorszenie własnej sytuacji? Na to nie ma zbyt wielu chętnych. I dlatego pisałem, że łatwej drogi nie ma, a trudną nie chce się kroczyć. Przykłady z historii dowodzą, że być może łatwiejsza psychologicznie jest walka zbrojna, niż długotrwały opór cywilny. Afgańczycy walczą z bronią w rękę przeciwko tej samej potęgze, którą my uważamy za niepokonalną. Oni oddają życie za wolność, a my idziemy głosić, bo może nam nie dadzą paszportu, albo odbiorą koncesję, albo wypchną z kolejki do mieszkania. Zapisujemy się do neozwiązków, bo dają wczasy, nie wypisujemy się z partii, bo wyrzucą z pracy. Istota tego systemu polega na tym, aby wszystkich uzależnić od władzy w najważniejszych dla człowieka sprawach - pracy, mieszkania, a także w wielu drobnych, ale też w końcu ważnych - studia, samochód, wyjazd za granicę, czy choćby krajowe wczasy. # imię osiągnięcia tych czy innych dóbr gotowi jesteśmy na pozornie niewiele znaczące ustępstwa, na małe zaprzęstwa, albo nawet na grube świnstwa. Związek pomiędzy tymi naszymi zaprzęstami, a trwałością systemu jest dość trudno zauważalny, ale on istnieje. I trzeba wiedzieć, że nasze działania się sumują i mogą dać efekt silniejszy, choć może mniej spektakularny od najbardziej nawet udanej fajerwerkowej demonstracji. Ewa Szumańska napisała kiedyś w jednym ze swoich minifilietonów w "Tygodniku Powszechnym" o mrówkach. Że to niby krzątają się pozornie bez efektu, ale wynikiem tej krzątalinie staje się całkiem nowe mrowisko. Aby tylko w tej krzątalinie nie ustawać i być gotowym do podjęcia ryzyka, niewielkiego w końcu, że nie otrzymamy tego samochodu czy paszportu. I aby pamiętać, że im mniej człowiek od tej władzy oczekuje, tym mniej jest od niej zależny, tym bardziej jest wolny. Bo zniewolić człowieka można nie tylko przemocą, Juliusz Mieroszewski w jednym ze swoich esejów pisał: "Nie można narodu zniewolić bez jego przyzwolenia na to zniewolenie". Wobec nagłej przemocy jesteśmy bezsilni. Przed perfidnym zniewalaniem możemy się jednak bronić. I to jest chyba jedyne zalecenie dla tych, którzy mówią, że nic nie mogą zrobić.

Redaktor

## Kazimierz Sabbat Prezydentem RP

8 kwietnia br. dotychczasowy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Edward Raczyński, zakończył swą siedmioletnią kadencję. Zgodnie z Konstytucją z 1935 r. przekazał on swój wysoki urząd premierowi rządowi RP na uchodźstwie, Kazimierzowi Sabbatowi.

Uroczystość zaprzysiężenia nowego Prezydenta RP odbyła się w sie-

dzibie emigracyjnych władz polskich w Londynie przy Eaton Place 42. Na uroczyste posiedzenie Rady Narodowej RP przybyli nie tylko jej członkowie mieszkający w Wielkiej Brytanii, ale także przedstawiciele Polonii ze wszystkich kontynentów.

Tekst przysięgi składanej przez Prezydenta RP brzmi następująco: "Świadom odpowiedzialności wobec Boga i Historii za losy państwa przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedyńemu na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej praw zwierzchnich państwa bronić, jego godności strzec, ustawę konstytucyjną stosować, względem wszystkich obywateli równą kierować się sprawiedliwością, zio i niebezpieczeństwo od państwa oddalać, a troskę o jego dobro za naczelny poczytywać sobie obowiązek. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego miłka. Amen."

x x x

Ruch Polityczny WYZWOLENIE składa Prezydentowi RP Kazimierzowi Sabbatowi gratulacje i gorące życzenia powodzenia w wysiłkach na rzecz odzyskania niepodległości Polski.

Odczuwamy bliską więź z tą częścią Polonii, która - rzucona w obcy świat - prowadzi konsekwentną politykę niepodległościową, podtrzymuje legalizm II Rzeczypospolitej Polskiej, jednoczy Rodaków za granicą i służy pomocą Krajowi.

Poniżej, w tekście "Kwestia legalizmu", informujemy bliżej o niektórych poglądach opozycji polskiej dotyczących ciągłości prawnopaństwowej II Rzeczypospolitej Polskiej.

## Kwestia legalizmu

Dla polskich ugrupowań politycznych kwestia legalizmu prawnopaństwowego Rzeczypospolitej Polskiej jest jedną z głównych i nadrzędnych spraw.

Interesujący jest punkt widzenia przedstawiony w tej kwestii przez kwartalnik "Samostanowienie" /nr 2/ wiosną 1985 r. Przypominając historię porzucenia Polski, jako sojusznika w II wojnie światowej, przez USA i Wielką Brytanię i cofnięcie uznania legalnemu polskiemu rządowi na uchodźstwie po zawarciu ustaleń jałtańskich ze Stalinem - pismo pisze:

"W tych warunkach, kiedy nie było szans utrzymania suwerenności państwowej, jak stwierdził Prezydent Edward Raczyński w wywiadzie radiowym w 1984 r. "tak zwany legalizm prawnopaństwowy był bardziej niż uzasadniony". Był on wówczas łatwiejszy psychologicznie niż teraz, ponieważ prócz głównych mocarstw oraz satelitów Kremla cały wolny świat, przez czas krótszy czy dłuższy, uznawał legalny rząd polski w Londynie /.../ Podstawowym akajomatem emigracji niepodległościowej była więc ciągłość istnienia suwerennego państwa polskiego."

Oczarowi przedstawiciele polskiej emigracji politycznej i Sił Zbrojnych na Zachodzie dokonali po dłuższej publicznej dyskusji dostosowania form politycznej reprezentacji państwa polskiego do nowej sytuacji. Oparto się na postanowieniach kwietniowej Konstytucji z 1935 r., którą w tych warunkach zaakceptowali nawet jej przeciwnicy. Stworzono emigracyjny parlament - Radę Narodową, do którego emigracja zorganizowała wybory. Ciągłość i legalność państwa polskiego reprezentuje urząd Pre-



zydenta Rzeczypospolitej Polskiej, który na mocy postanowień Konstytucji kwietniowej może być przezeń przekazywany kolejnemu kandydatowi - oraz rząd RP.

"Samostanowienie" pisze dalej:

Uznanie istniejących form państwowych II Rzeczypospolitej jest naszym zdaniem jedyną możliwością obrony legalizmu i wyrazem uznania dla działalności emigracji niepodległościowej /.../ dozwolimy najpierw, jakie korzyści przynieść może podtrzymanie legalizmu w warunkach takich jak obecnie - braku szans na szybkie odsunięcie komunistów od władzy. Są dwa aspekty przyjęcia legalistycznej podstawy dla działalności niepodległościowej: tytułu prawnego do właściwego rozwiązania problemów nie zamkniętych przez II wojnę światową, będących dziedzictwem Polski międzywojennej oraz wykorzystanie istniejącego od września 1939 r. funkcjonalnego aparatu dyplomatycznego uchodźczego rządu polskiego /.../

Dzięki sieci byłych ambasad i przedstawicielstw RP, które pozostały na miejscu także po utracie swego statusu dyplomatycznego, ośrodek londyński posiada szerokie kontakty i rozeznanie w polityce państw zachodnich /.../

Co więcej, do tej pory rządy zachodnie utrzymują półoficjalne kontakty z polskim rządem emigracyjnym, przyzwyczajone zasięgać opinii władz RP o wydarzeniach w Polsce. Wobec tego narzuca się koncepcja przekształcenia Naczelnych Władz RP w reprezentację jednolitego frontu ugrupowań niepodległościowych z Kraju, Emigracji. Zalety tej koncepcji są niemałe. Istnieje przede wszystkim zgodność ideałów niepodległościowych grup w Kraju i wojennej emigracji politycznej, tworzącej obóz legalizmu państwowego; obie strony za bezpośredni cel stawiają sobie suwerenność Polski, nie oczekują też osiągnięcia go metodą porozumienia z komunistami. Ponieważ rząd i Rada Narodowa RP są strukturami stricte politycznymi więc dobrze nadają się do funkcji reprezentowania społeczeństwa zorganizowanego wokół celu właśnie przeznaczoną przez nas Rządowi RP może wypełnić TKK "Solidarność" i jej Biuro Zagraniczne w Brukseli. Jest to bowiem reprezentacja związkowa, która nie chce i zapewne nie może pełnić roli reprezentacji politycznej Polaków. Skłonna jest ona do działań taktycznych i jak dotąd oczekuje ugody z władzami PRL."

Koncepcje prezentowane przez "Samostanowienie" warte są przemyślenia, choć niosą one ze sobą także i kwestie kontrowersyjne, jak choćby problem granic Polski. Kto bowiem uznaje ciągłość państwową II Rzeczypospolitej i legalność jej władz, ten winien konsekwentnie uznawać kształt terytorialny z okresu jej istnienia. Tymczasem niektóre polskie ugrupowania polityczne, w tym także Ruch Polityczny WYŻEWOLENIE i WSN, uznają niezmiennność istniejących obecnie granic Polski za podstawowy element swych programów.

Do rozważań na te tematy powrócimy w następnych numerach naszego pisma.

## Deklaracja polsko-czechosłowacka

16 stycznia w siedzibie polskiej emigracji politycznej w Londynie podpisana została wspólna deklaracja polsko-czechosłowacka o odnowieniu zamierzonej w przyszłości federacji Polski i Czechosłowacji. U-



przednia umowa w tej sprawie była podpisana również w Londynie, w czasie wojny, na mocy porozumienia ówczesnych rządów emigracyjnych obu krajów. 19 stycznia 1942 r. podpisali ją ówczesny ambasador RP Edward Raczynski - ze strony polskiej i min. Hubert Ripka - ze strony czechosłowackiej. Odnowioną umowę podpisał również Edward Raczynski, tym razem jako Prezydent RP oraz Kazimierz Sabbat jako premier rządu RP na uchodźstwie /przejął on urząd Prezydenta RP 8 kwietnia br./. Ze strony czechosłowackiej podpisy złożyli prof. Mojmir Povolny - Przewodniczący Komitetu Wykonawczego Rady Wolnej Czechosłowacji oraz Rudolf V. Prastacki - Przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego Rady Wolnej Czechosłowacji na uchodźstwie. Obecny był poseł do Parlamentu westminsterskiego, Sir Bernard Braine, wielki przyjaciel Polski i innych zniewolonych przez Sowiety narodów,

Przed rozpoczęciem ceremonii podpisania deklaracji Prezydent RP Edward Raczynski powiedział m.in.:

"Organiczne połączenie naszych państw i narodów było jedną z najbardziej ważnych decyzji powziętych przez rządy Polski i Czechosłowacji na początku 1942 roku, kiedy deklaracja będąca rezultatem przyjacielskich negocjacji, została podpisana przez dr Huberta Ripkę i przeze mnie /.../. Losy wojny i interwencja Józefa Stalina w tę sprawę udaremniły nasze plany, przy końcu zaś konfliktu wojennego nasze narody pozbawione zostały wolności wyboru. Teraz, po 44 latach, stare wizje odzywają /.../. Idee są silniejsze niż broń i narody Europy Środkowej, teraz pozbawione wolności i skazane na status państw satelickich, odzyskają wolność w demokratycznych systemach."

O znaczeniu deklaracji polsko-czechosłowackiej wypowiedział się, także w wywiadzie dla londyńskiego "Tygodnika Polskiego", Przewodniczący Rady Wolnej Czechosłowacji, prof. Povolny. Na pytanie czy podpisana w Londynie deklaracja ma tylko symboliczne znaczenie, czy też pójdą za nią pewne praktyczne kroki, prof. Povolny odpowiedział:

"Nie patrzę na to, co się stało w Londynie, jako na akt wyłącznie polityczny. Oczywiście, wszyscy wiemy, że są pewne granice naszego działania, lecz wydaje mi się, że są także liczne możliwości, które pozwolą tę deklarację uzupełnić praktycznymi posunięciami. Dam taki przykład: utworzyliśmy czechosłowacko-polską grupę roboczą, która przygotowuje na najbliższy kongres Stowarzyszenia Czechosłowackiej Sztuki i Nauki zagadnienia na temat stosunków polsko-czechosłowackich. Wszczęliśmy, wspólnie z premierem Sabbatem pewne przygotowania na konferencję wiedeńską w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie, gdzie zamierzamy przedstawić nasz wspólny punkt widzenia, jeśli chodzi o obronę praw ludzkich, obronę wolności w naszych krajach. Szereg innych zagadnień, które do tej pory załatwialiśmy osobno, na własną rękę, będziemy od teraz bronić wspólnie. Co więcej, tę współpracę pragniemy rozszerzyć na kraje środkowej i wschodniej Europy, które cierpią także pod jarzmem komunistycznym."

x x x

Warto przypomnieć, co przewidywała umowa o przyszłej federacji polsko-czechosłowackiej, podpisana w 1942 r. Postanawiała ona mianowicie, iż "celem federacji jest zapewnienie wspólnej polityki w zakresie: a. spraw zagranicznych, b. spraw wojskowych, c. spraw gospodarczych i finansowych, d. spraw socjalnych, e. komunikacji, poczt i telegrafów". /pkt 2/

\* punkcie 3 umowy postanowiono, iż federacja będzie miała wspólny Sztab Główny kierujący przygotowaniami do obrony państw wchodzących w skład federacji, a w przypadku wojny - będzie miała jedno Dowództwo Naczelne.

\* W pozostałych punktach umowy stanowiono, iż sfederowane państwa będą koordynować politykę handlu zagranicznego i taryf celnych, prowadzić wspólną politykę monetarną zmierzającą do utrzymania stałego stosunku między walutami narodowymi, koordynować politykę finansową, szczególnie w dziedzinie podatków oraz prowadzić wspólną politykę gospodarczą w ogólności. Jednym z podstawowych postanowień umowy było pełne umożliwienie nieskrępowanej, wolnej możliwości przepływu środków, osób i myśli, czemu służyło m.in. postanowienie o ruchu osobowym między Polską i Czechosłowacją bez paszportów i wiz.

12 punkt umowy o federacji z 1942 r. przewidywał - jest to znamienne - ujednolicenie Konstytucji obu państw w tym sensie, że miały one gwarantować obywatelom wolność sumienia, wolność osobistą, wolność nauki, słowa i pracy, swobodę organizacji i stowarzyszeń, równość wszystkich obywateli wobec prawa, wolny dostęp wszystkich obywateli do sprawowania wszelkich funkcji państwowych, niezależność sądów, kontrolę rządów przez przedstawicielstwa narodowe wybrane w drodze wolnych wyborów. Tak więc oba państwa wchodzące w skład tej federacji miały posiadać ustroje demokratyczne.

Tyle umowa o federacji z 1942 r. Podpisana w styczniu br. deklaracja polsko-czechosłowacka o przedłużeniu umowy federacyjnej, uwzględniając istniejące realia, konstatuje m.in.:

"Jednakże, po odniesieniu zwycięstwa, Polacy, Czesi i Słowacy zostali brutalnie pozbawieni jego owoców. Zamiast wolności i demokracji, Związek Sowiecki i jego siły zbrojne przyniosły naszym krajom nowe ujarzmienie i komunistyczną dyktaturę; zamiast sprawiedliwości i pokoju partie komunistyczne ustanowiły rządy opresji i terroru; w miejsce narodowej niepodległości, przyjaźnej współpracy i przestrzegania ludzkiej godności, nasze narody zostały przemienione w satelity Imperium Sowieckiego a ludność obniżona do poziomu nowoczesnego poddaństwa."

kysując ten pesymistyczny i tragiczny obraz deklaracja podkreśla jednak, że w przyszłości może się on zmienić. Dlatego:

"Jesteśmy więc zdecydowani, aby zjednoczyć nasze siły do walki, która nas czeka, ponieważ dzielimy te same aspiracje i ponieważ jesteśmy przekonani, że w naszej jedności leży nasza największa siła i nadzieja".

Przytaczamy tak obszernie informacje o tym wydarzeniu w Londynie nie bez istotnego powodu. Wspólnie z bratnią organizacją Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość uważamy w Ruchu Politycznym WYZWOLENIE, że w przyszłej walce o niepodległość państw decydujące znaczenie może mieć wspólne wystąpienie narodów zniewolonych w Europie Środkowej i Wschodniej. Pragniemy tu odesłać naszych Czytelników do publikacji "Teza strategiczna pierwsza", zamieszczonej w 6-7-8 numerze "Wyzwolenia" z 1984 r. Sądzimy, że współdziałanie Polaków, Czechów i Słowaków miałoby ogromne znaczenie w tej walce. Nie wątpimy, że w odpowiednim historycznym momencie żadne animozje, niechęci i uprzedzenia nie przesłonią wspólnej świętej sprawy - wyzwolenia z sowieckiej niewoli.

Eva Hoffman

## Rząd pamięci

Ma prezydenta, premiera, parlament, partie opozycyjne. Jedyne, czego nie ma, to kraju.

Po raz pierwszy zobaczyłam prezydenta snując się po "zamku" przy londyńskim Eaton Place. Po obu stronach tej cichej, nobliwej ulicy wznoszą się urocze białe budynki, z których wiele zajmują ambasady i konsulaty. Zamek nie wyróżnia się spośród nich dosłownie niczym, poza tym, że na drzwiach zamiast złocistej tabliczki anonującej dumnie Ambassade X czy Konsulat Y widnieje tylko skromny numer.

Musiałam w pewnym momencie mojej wizyty zabłądzić do niewłaściwego pomieszczenia, gdy bowiem przemierzałam jego uroczyste, rozległe przestrzenie, stanęłam nagle jak wryta na widok kruchej postaci bardzo starego pana siedzącego przy eleganckim antycznym biurku.

- Przepraszam bardzo - powiedziałam po polsku. - Zabłądziłam tu przez pomyłkę.

Nie otrzymałam odpowiedzi.

- Przepraszam bardzo - powtórzyłam po angielsku, ale postać za biurkiem albo drzemała, albo była pogrążona w głębokich rozmyśleniach albo po prostu nie zwracała najmniejszej uwagi na intruza. Miałam już odejść, kiedy z niezwykle szacunkiem podeszła grupka starszych panów.

- Panie prezydencie - odezwał się jeden z nich - przyszedliśmy do pana z pewną sprawą.

Było to na kilka dni przedtem, nim poznałam prezydenta bliżej. W międzyczasie poznałam premiera, wiceministra spraw zagranicznych i przywódców dwóch spośród czterech partii opozycyjnych. Wszystkie te osobistości sprawują bardziej rządy dusz niż rządy w sensie fizycznym. Są one członkami instytucji zwanej polskim rządem na wygnaniu, z pewnością jednego z bardziej niejasnych i kontrowersyjnych tworów politycznych, zanotowanych w annałach historii współczesnej. Wszyscy znamy zdetronizowanych monarchów używających owich fortun w oczekiwaniu na powrót do kraju, przedstawicieli podbitych narodów żarliwie domagających się niepodległości dla swoich krajów i tymczasowe grupy formujące się za granicą w nadziei obalenia znieprawdzonego rządu. Ale polski rząd na wygnaniu tworzy całość, choć w miniaturowej skali, system parlamentarny, który od czterdziestu pięciu lat i wobec całej pragmatycznej rzeczywistości mieni się jedynym polskim legalnym rządem od czterdziestu lat egzystującym bez jakiegokolwiek praktycznie władzy czy uznania przez Polskę znaną nam z gazet i map. Parlament spotyka się regularnie co kilka tygodni, ogłaszając corocznie swój budżet /w ubiegłym roku wyrażał się on sumą 100 tys. funtów/, a różne emigracyjne gremia witają pojawienie się prezydenta z rosnącym entuzjazmem. Czyżby to był jakiś polski żart, który ciągnie się już za długo? Nie ulega wątpliwości, że jest tu materiał na farsę. Jeśli bowiem polski rząd na wygnaniu lekceważy współczesną rzeczywistość, to owa rzeczywistość odplaca mu pięknym za nadobne. Nawet przedstawiciele dawnej polskiej emigracji poza Wielką Brytanią często pytają ze zdumieniem: - "To oni jeszcze istnieją?", kiedy im przypomnieć o rządzie londyńskim. Ale medal ma i drugą stronę. Ludzie należący do tej nienormalnej politycznej konstelacji są w większości inteligentni, pod względem poglądów umiarkowani

i bez żadnych złudzeń co do własnego znaczenia. Są po prostu ogarnięci niebывale upartą wiernością w stosunku do własnych doświadczeń historycznych i na tyle pryncypialni, by nie dać się ponieść biegowi wypadków. Te cnoty nie są w naszych czasach specjalnie cenione, ale reprezentują pewien nurt polskiego charakteru i tradycji, którego nie można złożyć na karb jedynie emigracyjnej ekscentryczności czy też tej nieokreślonej bliżej cechy zwanej polskim duchem romantyzmu.

Polski rząd na wygnaniu zrodził się bowiem nie z żadnego romantycznego impulsu, tylko z konkretnych potrzeb rzeczywistości drugiej wojny światowej. Po inwazji Polski przez Niemcy od zachodu i przez Rosję od wschodu we wrześniu 1939 roku rząd polski - sam też dość efemeryczny twór powstały w czasie krótkiego okresu międzywojennej niepodległości Polski - uciekł do Rumunii, gdzie z rozkazu Niemców jego członkowie zostali natychmiast poddani aresztowi domowemu. Aby zapewnić ciągłość rządu, interwony prezydent wyznaczył na swoje miejsce Władysława Raczkiewicza, który się znalazł na Zachodzie, i tak powstał we Francji nowy rząd skupiający w swoim składzie różnych dyplomatów, generałów i inne osobistości spośród ludzi, których wojna rzuciła do krajów alianckich. I z tego właśnie aktu konstytucyjnego rząd emigracyjny wywodzi swoje prawo do legalności - jako demokratycznie wybranego przedstawicielstwa wolnej i niepodległej Polski.

Po upadku Francji nowo powstały rząd przeniósł się do Anglii, gdzie w początkowym stadium wojny działał uznawany i popierany przez aliantów. W miarę jednak rozwoju sytuacji wojennej Polska stawała się - z punktu widzenia aliantów - problemem coraz bardziej marginalnym, a przy tym kłopotliwym ze względu na stosunki z Rosją; z punktu widzenia Polaków ich kraj został zarówno w sensie przerośniętym, jak i dosłownym niemal sprzedany.

Chodziło o dwie zasadnicze sprawy: chęć Rosjan zaanektowania znacznych połaci Ukrainy i Litwy, które przed wojną należały do Polski, i utworzenie marionetkowego komitetu lubelskiego, który ostatecznie stał się po wojnie załącznikiem polskiego rządu. Początkowo rząd londyński utrzymywał dość napięte stosunki ze Stalinem - które jednak załamały się po odkryciu masakry w Lesie Katyńskim, gdzie z rąk Rosjan zginęło 15 000 polskich oficerów i intelektualistów. Po całej rundzie oskarżeń i kontroskarżeń, jaka rozegrała się pomiędzy Polakami i Rosjanami, Polska została wykluczona z negocjacji dotyczących jej przyszłości: nie zaproszono polskich delegatów ani na konferencję w Teheranie w roku 1943, gdzie dokonano zasadniczych ustaleń co do przyszłych granic Polski, ani do Jałty. Strona brytyjska działająca pod coraz większym naciskiem w kierunku utrzymania dobrych stosunków z Rosjanami, szła w sprawie polskiej na daleko idące ustępstwa aż do momentu, kiedy w Jałcie wszystkie żądania Rosjan dotyczące zmiany granic Polski, jak i utworzenia prorosyjskiego rządu zostały spełnione. By dodać zniechęcenia do krzywdy, Brytyjczycy, z poduznaczenia Stalina, namówili przebywających na emigracji Polaków, aby wyznaczyl pewną liczbę znaczących osób, w tym niektórych przywódców podziemnych przebywających w Polsce, którzy jakoby mieli wejść w skład nowego rządu; spośród szesnastu delegatów wyznaczonych do rozmów z Rosjanami trzynastu dostało różne wyroki, a o trzech spośród tych trzynastu wszelki śluch zaginął.

Wśród Polaków na emigracji wywołało to poczucie krzywdy, a nawet zdrady. Rząd w Londynie pozostał bez kraju, którym mógłby rządzić, ale za to z silnym przekonaniem, że jego wersja prawdy historycznej i wizja Polski, za którą walczyli, nie zostanie zapomniana.

Hrabia Edward Raczyński, czwarty prezydent rządu na wygnaniu, ma dziewięćdziesiąt cztery lata i jest prawie niewidomy. Mieszka ze swoją sekretarką, Anielą Mieczysławską, w skromnym, acz położonym w eleganckiej dzielnicy Londynu Belgravia, apartamencie ozdobionym wspólnymi zbiorami malarstwa polskiego, gdzie prezydent spędza czas na czytaniu, pisaniu i pełnieniu swoich nielicznych funkcji oficjalnych. Jego kariera dyplomatyczna sięga czasów Ligi Narodów, gdzie jako młody człowiek był członkiem polskiej delegacji. Następnie zajmował stanowisko polskiego ambasadora w Wielkiej Brytanii. Podczas wojny pełnił podwójną funkcję - ambasadora i ministra spraw zagranicznych, a ponieważ znał takich ludzi jak Winston Churchill i Anthony Eden zupełnie dobrze, był kluczową postacią w prowadzeniu negocjacji w polskiej sprawie.

W rezultacie całe swoje długie życie Raczyński przeżył w przygasającym świetle tejże sprawy; od czasów wojny był członkiem rządu emigracyjnego, lobbystą różnych organizacji emigracyjnych i napisał kilka książek o sprawach polskich, w szczególności "In Allied London", pamiętnik poświęcony wojennej działalności rządu. Jego sposób myślenia nie zdradza jednak żadnego zachwiania równowagi, wynikającego często z jednostronności. Zarówno w tym, co pisze, jak i w rozmowach przejawia poczucie proporcji i umiejętność widzenia spraw polskich w szerszej skali geopolitycznej. Niby stoicki ukłon w stronę przeznaczenia często w jego ocenie wypadków historycznych pojawiają się zdania: "Tak już miało być" czy "Tak być nie miało". "Spodziewałem się, że wynik drugiej wojny światowej będzie podobny do wyniku pierwszej wojny, że i Niemcy, i Rosja zostaną pokonane" - przyznaje z łagodną autoironią. - "Ale widocznie tak być nie miało".

Kiedy pani Mieczysławska /która niezmiennie zwraca się do pana Raczyńskiego per panie prezydencie, choć nie waha się wypowiadać przy nim swojego zdania/ wpada w złość na wspomnienie niechęci Churchilla do wynegocjowania w Jałcie lepszych warunków dla Polski, Raczyński przerywa jej prezentując znacznie bardziej umiarkowany punkt widzenia: "Churchill był najprzystojniejszy z całej tej trójki. Tyle tylko, że podlegał wielkiej presji ze strony Amerykanów i Moskali. Uważał, że jeśli Polska pójdzie na pewne ustępstwa, to zyska status niezależny. Skoro nawet my mieliśmy pewne złudzenia, to cóż dopiero Brytyjczycy. Churchill nigdy nie był złe do Polski usposobiony, tylko że trzymał się dewizy: dobrze czy źle, ale sprawy mojego kraju na pierwszym miejscu".

Będąc doświadczonym dyplomata Raczyński jest w pełni świadom ograniczeń, a nawet pewnej absurdalności własnej pozycji. Z całą pewnością rząd emigracyjny nie jest w stanie dać mu poczucia wielkiego osobistego znaczenia. Nie jest też przepełniony mesjanistycznymi nadziejami na przyszłość. Nie czeka ze wstrzymanym oddechem na moment wyzwolenia. /A zresztą, kto wie? "Nie ma takiego proroka, który by przewidział, co się stanie. Ostatecznie, żeby obalić carat trzeba było dwóch wojen, które w sumie trwały ponad wiek" - powiada./ Nie ma jednak żadnych złudzeń, że gdyby do tego doszło, to grupa londyńska wjedzie na białych koniach do Polski, żeby objąć władzę; przekaże jedynie symbole swojej legalności odziedziczone po rządzie przedwojennym.

Pan Raczyński żywi ciche i nieugięte przekonanie, że legalność jest po jego stronie i że nadanie tej konstytucyjnej zasadzie pewnej formy ma zasadnicze znaczenie dla oddania czci przeszłości i utrzymania poczucia ciągłości narodowej. I ta wiara jemu i wielu jego kolegom pozwoliła wytrwać w tym pozornie pełnym donkiszoterii

przedsięwzięciu. Londyński "parlamencik", jak go często nazywa używając polskiego zdrobnienia, jest tylko słabym refrenem, niemal całkowicie zagłuszonym przez brutalne bębny historii, który przypomina, że to, "co się stało", jest po prostu tylko czymś, co się stało, a nie tym, co powinno się było stać, że Polska Moskali i Warszawiaków jest tylko historycznym wypadkiem, a nie wyrazem powszechnej woli czy historycznej sprawiedliwości. Z miejsca, w którym zasiada prezydent Raczyński, szarada rozgrywa się raczej nad Wisłą niż nad Tamizą.

"Nasze rozumowanie jest następujące" - wyjaśnia uprzejmie. - "W obecnym momencie nikt nie jest w stanie wyzwolić Polski. A co możemy zrobić na przyszłość? Możemy przeznaczać pewne sumy pieniędzy na stypendia dla młodych ludzi, na badania naukowe i działalność kulturalną. Ale możemy także dbać o to, żeby naród zachował swoją tożsamość i pamięć. Nic innego nie wymyślimy".

Jeżeli władza korumpuje, to jej brak oczyszcza. Polityka uprawiana za pomocą tych platonicznych środków, to proces łagodny, charakteryzujący się w większym stopniu harmonią niż awarami. Dla niektórych członków rządu ich uczestnictwo stanowi zaspokojenie potrzeb snobistycznych i zapotrzebowania na prestiż społeczny - tak ważny w Anglii, gdzie większość wyższych stanowisk jest zupełnie niedostępna dla polskich emigrantów, nawet o bardzo nieraz dobrym pochodzeniu. Co do działań bardziej konkretnych, rząd sporządza opracowania dotyczące na przykład gwałcenia praw człowieka na terenie Polski i prezentuje je na różnych konferencjach międzynarodowych, jak chociażby konferencja w Helsinkach. Od czasu do czasu jego członkowie przypominają brytyjskiej opinii publicznej o niesprawiedliwości, jakie się dopuszczono w Jańcie. Rząd pomaga także polskiej emigracji, szczególnie w ostatnich latach, i świadczy pomoc finansową w stosunku do grup dysydenckich w Polsce. Przyznaje także medale i inne odznaczenia uczestnikom drugiej wojny światowej, a także przyjmuje gości, od zwykłych ludzi do takich osobistości, jak Kardynał Glomp, który służył prezydentowi Raczyńskiemu znaczącą wizytę /stosunki pomiędzy Rządem Londyńskim a Kościołem Katolickim zawsze były bliskie/.

Istniały dość daleko idące propozycje wprowadzenia zasadniczych zmian, wśród nich propozycja Rowmunda Piłsudskiego, starszego pana, który żyje w Londynie, otoczony rzadkimi książkami i stoi na czele Polskiego Ruchu na Rzecz Wolności, Niepodległości i Demokracji, partii o tendencjach federalistycznych. Proponuje on w zasadzie rozwiązanie rządu /"Takie zabawy nas nie interesują"/, z wyjątkiem stanowiska prezydenta, którego znaczenie zarówno dla niego, jak i dla innych przedstawicieli starszej emigracji, z którymi rozmawiałam, nie podlega dyskusji. Ale nawet tak odmienne stanowiska nie powodują już poważniejszych sporów. Wszelkie stare animozje, które kiedyś dzieliły sędziwych już dziś w większości bojowników, zatarł czas. "Ostatecznie jesteśmy ludźmi cywilizowanymi" - powiada z uśmiechem Piłsudski.

Historia jednak bywa ironiczna i w ostatnich latach spokojne wody tej cywilizowanej enklawy poruszyły prądy, które przyniosły nowy zastrzyk żywotności. Stało się to za sprawą Solidarności, która nawet po jej zdelegalizowaniu dalej kwestionuje prawowitość oficjalnych władz polskich w tym samym stopniu co "londyńczycy". Mimo wspólnego wroga Solidarność nie jest najlepszym sprzymierzeńcem dla wywodzącej się z wyższych sfer grupy londyńskiej i stosunki między nimi są dość skomplikowane. Wyjaśniając stosunek swojego ugrupowania do Solidarności premier Kazimierz Sabbat mówi tonem dość sżutywnym: "Popieramy ich na tyle, na ile jest to możliwe, ale nie oczekujemy nic w zamian,



w szczególności nie oczekujemy, że nas uznają. Z ich punktu widzenia nie miałyby to sensu - byłiby za to prześladowani". Najwyraźniej za tym stanowiskiem kryją się zawiedzione oczekiwania. I mimo że nikt nie mówi o tym otwarcie, grupa londyńska miała nadzieję na nawiązanie ściślejszych związków z Solidarnością, ale spotkała się z odprawą. Mimo to istnieją między tymi grupami punkty styczne i rozwój Solidarności wywołał w Londynie znaczne poruszenie. Rząd udzielił pośredniej pomocy organizacjom związanym z Solidarnością, co spotkało się z uznaniem. Prezydent Raczyński brał udział w dyskusjach i korespondował z organizacjami solidarnościowymi za granicą. Niektórzy przedstawiciele emigracji posolidarnościowej przejawiają żywe zainteresowanie pewnymi formami działalności rządu emigracyjnego, jak również nurtem historycznym, który on reprezentuje. Według wiarygodnej pogłoski stanowisko prezydenta, który jest mianowany, zostało zaproponowane wysoko postawionemu działaczowi Solidarności; odrzucił on wprawdzie propozycję, ale dopiero po solidnym namyśle.

Jeśli nie traktować istnienia rządu emigracyjnego jako czegoś wyłącznie zabawnego, należałoby sobie postawić całkiem poważne pytanie: jaką wartość przedstawia wartość symboliczna? Sądząc z polskiej historii - ogromną. Jeśli jest coś specyficznie polskiego w tej dziwnie upartej, dziwnie wzruszającej instytucji, to przede wszystkim nieustępliwa wiara w ważność pamiętania i w siłę politycznych form, gestów i ideałów. Taką wiarą była praktycznie koniecznością, warunkiem przetrwania przez większość polskich dziejów. Przez znaczną część dwóch ostatnich wieków Polska istniała bardziej jako idea niż rzeczywistość polityczna - a i ta idea ostała się głównie dzięki lojalności kolejnych emigracji i ich zdolności wyrażania autentycznych, nie cenzurowanych nadziei i aspiracji społeczeństwa. Ciągłość polskiej kultury ma wiele do zawdzięczenia myśli, piśmiennictwu i innym formom działania Polaków na obczyźnie, a rząd emigracyjny ma bogate tradycje, wśród których może znaleźć sobie miejsce.

Czy pamięć przeszłości może pozostać żywa dłużej niż okres pokolenia, które ją przeżywało, to już inna sprawa. Rząd emigracyjny został stworzony w kontekście współczesnej sobie emigracji i w stosunku do niej pełni rolę głosu sumienia i siły jednoczącej. Angielska część wojennej i powojennej diaspory licząca obecnie około 180 000 osób wywodzi się z szeregów sił zbrojnych, które walczyły na Zachodzie, ale również spośród inteligencji i elity wyższej burżuazji i arystokracji. Na przestrzeni lat ludzie ci potrafili stworzyć potężną sieć polskich organizacji - szkół, kościołów, aktywnych jednostek harcerskich, klubów, bibliotek, muzeów i instytucji o charakterze historycznym. W wielu wypadkach ich dzieci otrzymały wykształcenie zarówno polskie, jak i angielskie.

W pewnym sensie, w mikroskali, stworzyli oni replikę Polski, którą znali. Jest ona przede wszystkim antysowiecka, ale jest również krajem różnic klasowych, wyszukanych manier i bardzo spójnego życia społecznego /ze wszystkimi jego niekorzystnymi efektami ubocznymi/ - o porządku społecznym, jaki istniał przed nastaniem społeczeństwa masowego i przed okupacją rosyjską. Ta Polska nie pozostałaby taka sama, nawet gdyby historia potoczyła się inaczej. Obecnie prawdziwy obiekt miłości tych emigrantów to ten mały świat, który sami stworzyli.

Młodsze pokolenie odziedziczyło ten świat, a wraz z nim pewne poczucie polskości po swoich rodzicach. Ale wielu tych młodych Polaków odwiedziło tę drugą Polskę i zaangażowało się czynnie w sprawy związane z Solidarnością, choć oczywiście są oni znacznie gruntowniej zasymilowani w społeczeństwie brytyjskim. Wielu z nich ma za złe rodzicom, że się nie udzielają i że uważają rząd emigracyjny za dosto-



jny anachronizm.

W sensie technicznym ciągłość rządu została zapewniona przynajmniej na jakiś czas. Prezydent Raczynski wyznaczył premiera Sabbata na swoje miejsce /chociaż zastrzegł sobie prawo do zmiany decyzji/, a są też ludzie gotowi zająć niektóre inne stanowiska. Co stanie się potem - nie wiadomo. Ale jeśli nawet polski rząd emigracyjny odejdzie po cichu w niepamięć, to i tak kilkadziesiąt lat jego nieprzerwanego i sprawnego działania można uznać za sukces, jeśli nie coś w rodzaju cudu. Ale przecież polska historia powojenna obfituje w takie zdawałoby się nieprawdopodobne przypadki i być może marginesowa polska organizacja londyńska w całym swoim nieprawdopodobieństwie do tej historii mimo wszystko należy.

Eva Hoffman

Tłumaczenie z "The Atlantic", luty 1986.

## Pan nie jest dla mnie wojewodą...

"W kontaktach z zagranicą tylko rząd polski i nikt inny reprezentuje Polską Rzeczpospolitą Ludową" - stwierdza przy różnych okazjach rzecznik rządu PRL.

To, że rząd w Polsce nie reprezentuje narodu polskiego, że pomiędzy rządem a społeczeństwem istnieje przepaść określana przez ulicę lapidarnym "my" i "oni", jest oczywiste dla każdego w Polsce, łącznie z samym rządem. O tym, czy ktoś kogoś reprezentuje czy nie, nie decyduje tylko jego chęć bycia reprezentantem, ale przede wszystkim wola tych, którzy chcą być reprezentowani, a także wola tych, którzy zechcą ową reprezentację uznać. Powojenna historia i polityka potoczyły się tak, że świat uznał za rząd polski marionetkową klikę, której nie uznał naród. Bezgraniczna naiwność Roosevelta, chłodna i cyniczna kalkulacja Churchilla poszły zgodnie w kierunku podyktowanym przez Stalina i załatwiły na długie lata bez udziału Polaków, albo ściślej - z niewielkim udziałem, wbrew rozpaczliwemu i beznaścielnemu oporowi narodu, sprawę "polskiego" rządu.

Wyniszczona i wykrwawiona wojną Polska otrzymała w wyniku zaprowadzenia żądu jałtańskiego w Europie rząd, którego jedyną racją bytu i jedyną legitymacją były siły zbrojne ościennego mocarstwa. A wszystko to - oprawione w hasła o prawie do niepodległego bytu. Tak, jakby mocarstwa dyktujące swoje prawa nie wiedziały, że podstawowym warunkiem niepodległego narodowego bytu jest prawo do ustanowienia ustroju społecznego, politycznego i gospodarczego według własnej woli wyrażonej w wolnych wyborach, w swobodnym wyborze władzy państwowej. Wolny zachodni świat o tym doskonale wie, ale wygodniej mu było uznać narzucony Polsce siłą rząd i utrzymywać z nim stosunki dyplomatyczne.

Teraz, kiedy po czterdziestu latach, za sprawą kolejnych zrywów wolnościowych w Polsce, Zachód jakby zaczyna rozumieć swój błąd i zaczyna dostrzegać innych niż rząd Jaruzelskiego reprezentantów narodu polskiego, kiedy zaczyna rozgraniczać polski interes narodowy od interesów rządu PRL, owe nieśmiałe jeszcze bardzo próby wywołują wściekłą reakcję tego rządu. Dla Zachodu powinien być to sygnał, że jeśli chcą pomóc Polsce - Polsce, a nie rządowi - to jest to droga słuszną. Tylko odmowa uznawania władzy, która nie legitymuje się wyborem, jest drogą, która ową władzę, choćby była oparta na największej nawet sile,

jest w stanie uczynić bezsilną.

Powszechną jest opinia, że Polacy nie uznają rządu za swój. Nie jest to jednak proste. «Każde w każdym społeczeństwie, każdej zbiorowości dążenie do jakiegoś porządkowania życia zbiorowego sprawia, że pomimo nieuznawania władzy komunistycznej w kategoriach moralnych, jest ona w pewnej mierze uznawana w działaniach praktycznych, co ta władza skrzętnie wykorzystuje na swoją korzyść. Konsekwentna odmowa uznawania władzy prowadzić by musiała do pełnego zejścia w podziemie, co oczywiście nie może być programem dla ogółu. W życiu codziennym zmuszeni jesteśmy funkcjonować według reguł ustanowionych przez niechcianą władzę. Możliwe jest jednak znaczne rozszerzenie frontu odmowy, przynajmniej deklaratorywnie. Ta władza, jak każda władza komunistyczna, wpłata jest w stworzoną przez siebie grę pozorów i udekorowana instytucjami-atrapami. Jedną taktyką - to próby wygrywania o-wych pozorów, wykorzystywanie atrap tak, jak gdyby pełniły one rzeczywiste funkcje, np. odwoływanie się do sejmu. Inną taktyką jest nieuznawanie o-wych pozorów. Nikt nie może zagwarantować szybkiej skuteczności frontu odmowy. Można jednak z całą pewnością powiedzieć, że owa odmowa uznania jest znacznie bardziej dla reżimu dokuczliwa. Uderza go bowiem w jego najczulszy punkt i jest bardzo trudna do zwalczania tą jedyną bronią jaką czerwony posiada, to znaczy siłą.

Przecież tak naprawdę to wszyscy, niezależnie od przyjętej taktyki i składanych deklaracji, dążą do wolnej i niepodległej Polski. Droga maksymalnie możliwego nieuznawania władzy i wszystkich jej pochodnych jest drogą w miarę prostą, jednoznaczną i zrozumiałą. Zrozumiałą dla nas, ale także, a może przede wszystkim dla wolnych społeczeństw zachodnich, które już trochę wiedzą, czym jest totalistyczny komunizm, ale zupełnie nie są w stanie pojąć całej złożonej i pokrętniej perfidii tego systemu. Odpowiedzią na pokrętność czerwonego powinna być z naszej strony jednoznaczność. Jednoznaczność przynajmniej deklaracji.

W Polsce mamy rząd nielegalny, niechciany przez naród, ale uznawany na arenie międzynarodowej. W Londynie zaś legalny, choć nieuznawany Rząd Polski strzeże Pieczęci Rzeczypospolitej - symbolu naszej państwowości. Tak właśnie toczy się historia, taka jest polityka. Ale być może nie tak bardzo odległa jest chwila, kiedy starsi niezłomni panowie z Londynu będą mogli tu w Kraju przekazać legalną władzę legalnym następcom. Póki co nie możemy wzywać przeciw rządów wolnych krajów, aby nie uznawali uzurpatorskiego rządu PRL. Nie możemy apelować o rzeczy niemożliwe. Ale możemy zwrócić się z apelem do polityków i mężów stanu Zachodu, aby podczas swoich wizyt w Polsce rozmawiali nie tylko z rządem PRL, ale także z przedstawicielami opozycji. W dyplomacji liczą się także gesty. Niechby choć tylko przez symboliczne gesty wykonywane w stronę opozycji przez polityków zachodnich gruntuwała sobie drogę w świecie świadomość, że rząd PRL nie jest nie tylko jedynym reprezentantem, ale nie jest żadnym reprezentantem Polski.

Ju Ro

X X X

W nr 1/10/86 prezentowaliśmy panoramę polskiej opozycji politycznej. W tej panoramie nie znalazły się Kluby Myśli Robotniczej. Ponieważ mieszczą się one w kategorii opozycji politycznej, choć nie deklarują się jako partia czy ugrupowanie, użyczamy zaprzyjaźnionym z nami Klubom miejsca na prezentację.

## Kluby Myśli Robotniczej

Idea tworzenia przed trzema laty Klubów Myśli Robotniczej powstała w wyniku przeświadczenia, że samo istnienie podziemnego związku oraz bojkot poczynił władz to za mało w stosunku do aktualnych potrzeb i aspiracji polskiego społeczeństwa. W deklaracji KMR-ów określiliśmy idee "Solidarności" jako fundament naszych myśli i dążeń. Za cel działania obraliśmy: "SŁUŻENIE IDEI ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI NARODOWEJ I SIŁECZNEJ". Osiągnięcie niepodległości i demokracji uważamy za podstawowy warunek trwałej poprawy bytu człowieka przy jednoczesnym poszanowaniu osobowości i godności ludzkiej. Kluby Myśli Robotniczej, mimo posiadania licznych kontaktów w wielu środowiskach, z założenia nie mają stałych struktur organizacyjnych. Nie posiadamy też zasobów finansowych, poparcia MSW, ani własnych bojówek /choć moja wytworna ciotka powiada: - "po coś to wszystko, gdy nie można dać dwa razy po pysku"/. Mamy natomiast ciągle długi, niewielkie ilości papieru i grono światłych, współpracujących z nami, przyjaciół.

Naszym pragnieniem jest uświadomienie konieczności działań politycznych jako najtrwalszej gwarancji zdobyczy socjalnych oraz upowszechnianie pewnych myśli i koncepcji politycznych i społecznych. Zadania te spełniać ma miesięcznik "BAZA" i własne wydawnictwo książkowe.

### Społeczna platforma działania

Przychodzimy znikąd. Takim prowokacyjnym zwrotem określamy często siebie. Chcemy przez to powiedzieć, iż uważamy za sztuczne, przeżyte i nieistotne podziały polityczne przeniesione z okresu przed PRL-owskiego. Konsekwencją tego jest poszukiwanie więzi i wspólnych interesów w społecznościach żyjących w warunkach socjalizmu realnego, jak również poszukiwanie uzależnień i związków poszczególnych grup z komunistyczną władzą. Uważamy, że poszukiwania takie pozwolą na lepsze poznanie zawiłości współczesnych procesów społecznych i rozpoznanie naszej siły. Czyli po prostu chcemy wiedzieć, na kogo mamy liczyć na poszczególnych etapach walki, zdając sobie sprawę, że najwięcej jest takich, którzy narzekając, pozostają w domach, niewiele jest tych, którzy chodzą do kościołów podnosić palce i jeszcze mniej takich, którzy "knują". A na ilu można liczyć przy czynnej próbie walki o niepodległość? Jaki jest stopień determinacji ludzi mierzonego poświęceniem swego czasu, utratą mienia lub pracy, ofiarą krwi?

W naszej działalności, doceniając niezbędną istnienie elit politycznych, pragniemy rozbudzić potrzebę świadomości politycznej wśród najszerszych rzesz społeczeństwa. Wykazać im, że dobrobyt indywidualny zależy od czynnej postawy zbiorowej.

Jako platformę działania społecznego przyjmujemy nie tylko środowisko fabryczno-przemysłowe lub ściśle robotnicze - jak to by wynikało z przyjętej nazwy klubów. Uważamy, że zniewolonym "robotnikiem" w systemie komunistycznym jest każdy obywatel będący pracownikiem najemnym, o ile świadomie nie identyfikuje się z tym systemem. Potrzeba wyzwolenia społecznego odnosi się więc nie tylko do robotników, ale do wszystkich grup pracowniczych. Przy czym podstawowym elementem tego wyzwolenia powinna być zmiana świadomości pracowniczej na obywatelską.

### KMR a Związek

Tkwimy w ruchu "Solidarność" i wspieramy go. Wspieramy również działania Związku na rzecz przywrócenia legalności jego działania. Jednakże niezależnie od tego, w jakiej sytuacji Ruch i Związek się znajdują, samodzielne organizacje polityczne są koniecznością tego Ruchu i jednocześnie jego owocem. Działalność Związku pojmujemy jako skupienie wszystkich w walce o swe prawa, skupienie w walce o wolność i demokrację. Natomiast działalność Klubów, jako tworzenie wśród związkowców pewnego kierunku myślenia politycznego o wolności i demokracji.

Uważamy, że stać już nasze społeczeństwo na zrozumienie, że nie chodzi w naszej walce o ceny mięsa lub legalizację Związku. Chcemy wszystkich przekonać, że podejmowane wysiłki winny mieć wspólny cel: SUWERENNOŚĆ I DEMOKRACJA. Dlatego uważamy, że dobijanie się o legalność Związku, jak i marsz ku niepodległości nie powinny czynić podziałów i wrogości, o ile obie te koncepcje jednocześnie będącie wspólny cel: DEMOKRATYCZNA I SUWERENNA POLSKA. Natomiast, jeśli celem tym będzie dla kogoś jedynie doprowadzenie Związku do legalizacji, w przekonaniu, że niezależność i realny socjalizm dadzą się pogodzić, że mogą ze sobą współistnieć, to z takim poglądem się nie zgadzamy. Uważamy, że nie wolno nam ograniczać się do walki o prawa związkowe. Gwarancję takich praw może dać tylko demokracja.

### KMR a polityka

Nie mamy zdefiniowanego programu działania. Mamy, jak widać, określony stosunek do pewnych spraw. Nie chcielibyśmy, aby nasz program zawierał wszystkie pobożne życzenia współczesnego Polaka. Uważamy, że program polityczny winien reprezentować poglądy i interesy określonej grupy społecznej lub środowiska. Obecnie łączy nas wiele, przede wszystkim niechęć do komunizmu oraz potrzeba suwerenności i demokracji. Naszym pragnieniem jest odnalezienie takich związków i wzajemnych interesów społeczności pracowniczej, które pozwolą na nadanie im politycznego wyrazu oraz zjednoczą do walki o własne interesy nie tylko dziś, ale i w przyszłości. Walczymy więc o niepodległość, która jest warunkiem demokracji, a więc i warunkiem prezentacji interesów oraz aspiracji każdej grupy społecznej.

Nie odrzucamy porozumień taktycznych z władzą komunistyczną, zawieranych jednak nie z woli tej władzy, a poprzez nasze wymuszenie, zawartych dzięki naszej sile, która będzie najtrwalszym gwarantem wypełnienia tych umów.

Chcąc zwielokrotnić siłę nacisku KMR-y popierają porozumienia polityczne i czynnie w nich uczestniczą. Odczuwamy też potrzebę stopniowego formowania reprezentacji politycznej Polski walczącej. Zadaniem jej byłaby koordynacja działań politycznych w kraju i za granicą, jak również reprezentacja ruchu na rzecz wyzwolenia i demokracji.

Zdajemy sobie sprawę, że najtrudniejsze będzie określenie przyszłego ustroju, przyszłego systemu gospodarki polskiej. Uważamy, że w tej strefie geograficznej Polska musi być silna, albo nie będzie jej wcale. Dlatego budując silne, samodzielne społeczeństwo winniśmy też dać upoważnienia do działań wyłonionej przez nas władzy. Upoważnienia te winny być bardzo szerokie w zakresie obronności i kształtowania potencjału gospodarczego.

Jak się wydaje, optymalnym modelem gospodarczym, po okresie rządów komunistycznych, byłaby w pełni rynkowa gospodarka z dwoma zasadniczymi sektorami państwowym i prywatnym. Choć w okresie przejściowym konieczne byłoby prowadzenie gospodarki na zasadach państwowo-samorządowych, tzn. państwowe przedsiębiorstwa pod kontrolą samorządów.

I tak dochodząc prawie do utopii, coś pewnie w tym pisaniu przegapiłem, ale my wszyscy to "coś" chyba przegapiamy. Może pewnego dnia znajdzie się geniusz lub w wyniku zbiorowego myślenia to "coś" odkryjemy i mury runą... Powodzenia!

Wero

Andrzej Jerzyński

## Telefon do Szczypiorskiego

"Czy zna pan telefon do Kremla?" - pod takim tytułem ukazał się artykuł Andrzeja Szczypiorskiego we "Frankfurter Allgemeine Zeitung" we wrześniu 1985 roku. Tłumaczenie i druk w języku polskim "Most" nr 5-6 /86/.

Najpierw cytaty. W podrozdziale "Na czym polega niepodważalność?" znajduje się następujący fragment: "W Polsce w żadnym wypadku nie walczą się o władzę partii komunistycznej, ani też o jej usunięcie, tylko o zdrowy rozsądek w takich granicach, jakie zostały Polakom wyznaczone przez historię współczesną i geopolitykę." Dalej: "Polityczna opozycja jest zgrupowaniem, które dąży do odebrania władzy swym przeciwnikom i sprawowania jej według własnego programu. Nie ma w Polsce takiej opozycji, gdyż ze względów historycznych i geopolitycznych nie może jej być. Nikt, kto ma zdrowy rozsądek, nie chce odebrać partii jej władzy, ponieważ jest to zupełnie niemożliwe. Musiałoby to się skończyć wielką katastrofą dla polskiego narodu, a naród polski przeżył już w przeszłości zbyt wiele katastrof, żeby nierozsądnie wyzywać los. Otóż opozycja w Polsce ma charakter moralny. Jest ona sprzeciwem wobec kłamstwa, obłudy i poniżania. Sprzeciwem wobec nieporządków, mitemanii, przywłaszczaniu praw, głupoty" itd, itd.

W innym miejscu autor cytuje fragment rozmowy, jaką prowadził z WFP /wysokim funkcjonariuszem partyjnym/. Cytuje pytanie zadane owemu WFP: "Czy wierzy pan, że ktokolwiek w tym kraju zważywałby i chciałby zupełnie poważnie zmienić europejski porządek, który został ustanowiony przez obie potęgi światowe?" Cytowanie samego siebie, jako zabieg stylistyczny miał wzmoocnić, jak sądzę, siłę argumentacji. Pewnie zbytecznie, ponieważ forma jest i tak wystarczająco dobitna, a treść wszak dotyczy najważniejszej dla narodu sprawy. Chyba, że Szczypiorski chciał przez to pokazać jak to swobodnie mogą między sobą wymieniać poglądy moralny opozycjonista i WFP. Ale to już zupełnie inna sprawa.

W cytowanych fragmentach Andrzej Szczypiorski pisze po prostu nieprawdę. W Polsce istnieje bowiem opozycja polityczna, która deklaruje głośno i wyraźnie, że za obław zdrowego rozsądku właśnie uważa chęć odebrania władzy komunistom. Istnieją w Polsce partie, które określiły swoje programy i które nie uważają, że odebranie PZPR władzy musiałoby skończyć wielką katastrofą. Owszem, uważają, że dalsze sprawowanie władzy przez komunistów już się kończy wielką katastrofą - gospodarczą, ekologiczną i polityczną. W Polsce ukazało się wiele oświadczeń - wystarczy choćby pobieżnie śledzić prasę niezależną - w sprawie Jałty. Jest wielu Polaków, którzy nie godzą się z narzuconymi u-

kładami i są to na ogół ludzie przy zdrowych zmysłach. Opozycja w Polsce ma nie tylko charakter moralny, który, choć czysty i szlachetny, dość mało liczy się w politycznej grze. Opozycja w Polsce staje się coraz bardziej polityczna i coraz lepiej rozumie reguły gry.

Panorama opozycji politycznej jest dosyć rozległa. W "Wyzwoleniu" /1-86/, BMW, "Konkrety" /2-86/ i w "Niepodległości" ukazały się obszernie prezentacje polskich ugrupowań politycznych. Można tę opozycję uważać za słabą, można się z nią nie zgadzać, ale nie można twierdzić, że jej nie ma.

Andrzej Szczypiorski ma prawo, jak każdy, wypowiadać dowolny własny pogląd. Ma prawo uważać za niezmienny porządek jałtański i uznawać obce namiestnictwo za swoją władzę. Ma prawo nie dostrzegać opozycji politycznej. Ale nie ma żadnego prawa głosić, że tak, jak on, myślał w Polsce wszyscy i że opozycja nie istnieje, ponieważ, jego zdaniem, istnieć nie może. Wagę tej wypowiedzi wzmacnia negatywnie fakt, że poglądy takie przedstawia Szczypiorski czytelnikowi zachodniemieckiemu, który raczej ma nikłe szanse poznać poglądy przeciwne, a który w sprawach polskich jest już wystarczająco stale dezinformowany.

Teraz, co do poglądów wyrażonych we wspomnianym artykule. Ponieważ Andrzej Szczypiorski odwołuje się do oporu moralnego, opozycji moralnej, jak pisze, to od moralności zacząć. Otóż za niemoralne uważam godzenie się i uznawanie niegodziwych układów tylko dlatego, że za nimi stoi siła. Za niemoralne uważam poddanie się niewoli. Zaś za poddanie się uważam składanie w tej sprawie deklaracje. Doprawdy wcale nie trzeba być wariatem, aby nie uznawać Jałty. Ten układ był bowiem wielkim świństwem, o ile w polityce można używać takich określeń, jakie wojenni sojusznicy wyrzadzili Polsce. Zachodnie mocarstwa łatwo i szybko pogodziły się z narzuconą przez Stalina wolą i przy milczącej aprobacie zwycięzonego wojną świata uznali rząd, którego w żadnym wypadku nie można było uznać za rząd polski i który nie wypełnił żadnego z zobowiązań, w szczególności zaś zobowiązania przeprowadzenia wolnych wyborów.

Przez ponad czterdzieści lat swego panowania komuniści wyrządzili temu krajowi szkody nieporównywalne z żadnym innym okresem historycznym. Cały okres ich panowania przyniósł dostateczną liczbę faktów na poparcie tezy, że metody rządzenia tej władzy są metodami okupacyjnymi i że pozostają w zasadzie niezmiennie, mimo drobnych retuszy różniących poszczególne ekipy. Żyć jakiegokolwiek złudzenia co do możliwości zasadniczych zmian sposobu sprawowania władzy przez komunistów, to znaczy być politycznym ślepcem, to znaczy chcieć rozwiązać kwadraturę koła.

Z faktu, że w tej chwili nie możemy się spod sowieckiej okupacji <sup>wyzwolić</sup> jeszcze wcale nie wynika, że musimy się z nią godzić. Wprost przeciwnie, każdy ruch wyzwolenia musi mieć swój początek w niegodzie na niewolę.

Powtarzam to, co już niejednokrotnie mówiłem i co mówili inni. Ale widocznie prawdy oczywiste trzeba powtarzać tak długo, aż dotrą do zamulonych mózgów. Klucz do rozwiązania sprawy polskiej leży w konfiguracji międzynarodowej. I to niekoniecznie tylko jako wynik konfliktu zbrojnego. Możliwe są różniczne warianty ułożenia się sił na arenie międzynarodowej, możliwa jest gra polityczna, ale Polacy muszą tę grę prowadzić. Na to, aby sprawa polska stała na arenie międzynarodowej, musi być słyszany głos Polaków - głos w tej najważniejszej dla narodu sprawie - sprawie niepodległości, a nie tylko takiego czy innego związku zawodowego, podwyżek cen, czy więźniów politycznych, choć to też



jest ważne. Syty, spokojny świat zachodni musi wiedzieć, że nie godzimy się płacić za ich święty spokój naszym zniewoleniem i że nie przestaniemy być dla nich beczką prochu. Muszą oni zrozumieć, że rozdziałanie tej beczki leży także w ich interesie i że w tym kontekście sprawa polska jest sprawą międzynarodową. Nie chcemy ani więcej ani mniej, niż to, co nam się w sposób naturalny należy - prawa do swobodnego narodowego bytu. Czy ktokolwiek uważałby za wariata Anglika, który domagałby się niepodległości, gdyby historia potoczyła się inaczej? Ale tylko w tym aspekcie sprawa polska jest sprawą międzynarodową. I tylko kwestia naszej niepodległości musi i powinna być nieustannie i wszelkimi możliwymi sposobami podnoszona na arenie międzynarodowej. Wszystko inne jest naszą wewnętrzną sprawą.

Nie jest łatwo polskiemu autorowi dostać się na łamy prasy zachodniej. Nie jest łatwo prezentować nasze problemy, a nie tylko obraz wydarzeń czy zdjęcia z kolejnej manifestacji. I dlatego uważam, że jeśli ktoś wykorzystuje taką możliwość dla przedstawienia nierzeczywistego obrazu sytuacji w Polsce i dla utwierdzenia opinii zachodniej, że chodzi nam tylko o wygodniejsze łóżko w tym obozie, to jest to gorsze niż błąd.

#### Rozmowa z Guy Sormanem

### Jesteśmy egoistami...

Guy Sorman jest postacią bardzo dobrze znaną we Francji. Profesor ekonomii na uniwersytecie, dziennikarz, właściciel przedsiębiorstwa wydawniczego, twórca towarystwa do walki z głodem, autor kilku znakomitych książek.<sup>x</sup> Jest człowiekiem bardzo zajęтым i kiedy zaczęłam zabiegać o rozmowę z nim, znajomi, których prosiłam o kontakt, nie dawali mi wielkich szans. Postanowiłam zatem działać najprościej, to znaczy odszukałam w książce numer telefoniczny i zadzwoniłam. Numer ten okazał się numerem mieszkania matki, która z wielką życzliwością i zrozumieniem skontaktowała mnie ze swoim synem. Tę życzliwość może tłumaczyć fakt, że obydwójce rodzice Guy Sormana urodzili się w Polsce - ojciec w 1897 roku w Warszawie, matka w Łańcucie. Rodzice w roku 1917 wyjechali do Berlina, a w 1934 roku do Francji, gdzie w 1944 roku urodził się Guy.

Guy Sorman mówi, że być może, z racji swojego pochodzenia czuje się kosmopolitą i jest bardzo otwarty na problemy innych krajów. Z doświadczeń rodzinnych wynika także niechęć do polityki i to, że Sorman całe życie zajmuje się problemami totalitaryzmu, którego dane było zaznać jego rodzicom.

Ukończył ENA /Państwowa Szkoła Administracji kształcąca najwyższe kadry w administracji i polityce. Przyp. T.T./ . Żonaty od czterech lat z dziennikarką specjalizującą się w zagadnieniach mody, ma trzy córki - 12, 8 i 5 lat.

Guy Sorman zapytany, czy w młodości chorował na "dziecięcą chorobę socjalizmu", a dopiero później zmienił poglądy, odpowiada że jest liberałem i zawsze był tradycyjnym liberałem francuskim, a problem socjalizmu to problem zarówno ekonomiczny, jak i moralny. Dodaje, że Francja jest bardzo zsocjalizowana, intelektualnie i inteligentna jest lewicowa, ale to się obecnie zmienia. Guy Sorman wszystkie swe siły kieruje na informowanie i przekonywanie. Uważa, że najważniejsze



jest zwycięstwo ideologiczne wśród inteligencji, szczególnie zaś jej kręgów opiniotwórczych. Kiedy wcześniej rozmawiałam z zagorzałymi przeciwnikami wolnorynkowego kapitalizmu, wierzącymi ślepo w regulacyjną omnipotencję państwa, zwolennikami jak najszerszej rozbudowanych programów socjalnych, zarzucali oni liberałom, a osobiście Sormanowi, chęć zlikwidowania największej - ich zdaniem - zdobyczy, to znaczy powszechnych ubezpieczeń socjalnych. Kiedy powtórzyłam to Sormanowi, ten roześmiał się i powiedział, że, owszem, krytykuje system monopolu państwowego w sprawach socjalnych, jako wielce kosztowny, ale to nie znaczy, że jest przeciwnikiem ubezpieczeń. Jest po prostu zwolennikiem wolnego wyboru pomiędzy ubezpieczeniami państwowymi, a prywatnymi.

Zapytany, co sądzi o sprawie Polski Sorman powiedział: "Jestem wielkim pesymistą w sprawie polskiej. Nie widzę rozwiązania w kontekście międzynarodowym, ale walka polska jest bardziej potrzebna Francji niż Polsce, jest dużą usługą dla nas. Jestem w tym momencie egoistą, ale Polacy robią dużo rzeczy dla nas, pokazują, że socjalizm idealny i realny to to samo. Pomoc materialny jest ważna, ale daleko niewystarczająca, konieczna jest solidarność intelektualna. Tymczasem inteligencja francuska nie robi nic dla Polski. Trzeba pisać artykuły, informować, jeździć do Polski, tłumaczyć. Trzeba oglądać socjalizm realny i sprawdzać socjalizm teoretyczny, aby móc krytykować socjalizm realny. Na szczęście to się zmienia. Od kilku lat dopiero pojawiają się książki i refleksje o socjaliźmie realnym. Nasza pomoc dla Polski, to krytyka socjalizmu - tego realnego i pogłębiona krytyka socjalizmu teoretycznego. Ale cóż - jesteśmy egoistami".

Z Guy Sormanem miała przyjemność rozmawiać Teresa T.

X <sup>1</sup> Polsce ukazała się tylko jedna: "Rewolucja konserwatywna w Ameryce" wydana w 1984 r. przez "Kurs".

## Recenzje

### **Rewolucja konserwatywna w Ameryce**

Ta książka zasługuje na uwagę. Zasługuje na to, aby stać się best-sellerem. Tymczasem, w rok od wydania pozostaje prawie zupełnie nieznaną. Przeszła przez podziemny rynek wydawniczy zupełnie niezauważoną. Nie wiadomo, czy to bardzo niski nakład, czy też kanały kolportażowe ominęły środowiska opiniotwórcze, a może po prostu tytuł nie zachęcał do lektury. Mowa bowiem o "Rewolucji konserwatywnej w Ameryce" Guy Sorman, wydanej przez "Kurs" w 1984 r. /tłumaczenie z francuskiego/. Tyle przecież mamy własnych problemów - tyle bulwersujących lektur traktujących o sprawach bezpośrednio nas dotyczących, że może nawet i bezwiednie odkładamy na bok i "na potem" inne książki. A przecież tak niewiele mamy okazji i możliwości poznania rzeczywistych problemów nurtujących świat zachodni. Niewiele też mamy możliwości włączenia się w światowy spór prawicy z lewicą, z lewicą nie skazaną sowieckim totalitaryzmem. Te problemy wydają się nam jakby nieistotne, wobec tego, co postrzegamy gołym okiem na zachodzie - pełne sklepy i powszechny dostatek.

"Rewolucja konserwatywna w Ameryce" jest opisem przemian świadomości współczesnych Amerykanów. Opisem rzetelnym i obiektywnym, choć poglądy autora znajdują oczywiście odbicie na kartach książki. Jest zarazem wnikliwą, dociekliwą i bardzo kompetentną krytyką społecznej

myśli lewicowej. Sądzę, że jest to lektura szczególnie interesująca dla polskiego czytelnika, tego, który doświadczył wprawdzie na własnej skórze całego zła, jakie niesie ze sobą socjalizm, ale ciągle skłonny jest przypisywać zło sowieckiemu totalitaryzmowi, wierząc nadal głęboko, że możliwy jest ustrój sprawiedliwości społecznej, zapewniający swobodny rozwój gospodarczy z jednej strony i powszechne bezpieczeństwo socjalne z drugiej strony, że możliwe jest pogodzenie zasady powszechnej równości wobec prawa z wprowadzaniem preferencji dla różnych grup społeczeństwa.

Wielką zaletą książki Guy Sorman jest połączenie wielkiej sprawności intelektualnej i prostoty wypowiedzi. Autor operuje przykładami zrozumiałymi dla każdego czytelnika. W sposób jasny i obrazowy przedstawia złożone problemy, żadnej jednak kwestii nie upraszczając.

Książka składa się z czterech części i podsumowania, w sumie składa się na nią szesnaście rozdziałów, które stanowią całocielowy obraz tego, co autor nazywa przewrotnie rewolucją konserwatywną. Już sama zbitka słów takich jak "rewolucja" i "konserwatywna" wydaje się pozornie nielogiczna. Rewolucja kojarzy się nam z burzliwymi i dosyć gwałtownymi zmianami istniejącego porządku, konserwatyzm - wprost przeciwnie - wyraża zachowawczość, przeciwieństwo zmian, obronę tradycji. Rewolucja konserwatywna oznacza u Sorman nie innego, jak powrót do wartości i tradycji, do reguł i zasad odrzuconych przez dziesięciolecia niepodzielnego panowania lewicy. "Od czasów Roosevelta eleganckie w Stanach było to, co znajdowało się po lewej stronie. Tak było nieprzerwanie od 1933 do 1980 roku. Przez czterdzieści lat z gorąco i dobry gust we wszelkiego rodzaju modach, rozwiązaniach politycznych i gospodarczych dyktowała lewica. Jej rzecznicy zdominowali życie intelektualne, środki przekazu, oświatę, aparat sprawiedliwości, wszelkie dyskusje polityczne. Przemienne rządy konserwatywnych republikanów i postępowych demokratów nie wniosły żadnej zmiany: Establishment to była zawsze lewica, nawet, gdy znajdowała się w opozycji, /.../ inicjatywy podejmowane przez prawicowych przywódców oceniano zawsze według kryteriów lewicy.

Nie sposób w krótkim omówieniu zawrzeć całego bogactwa książki. Autor pisze bowiem i o kulturze, i o religii, o feministkach, i prawie do posiadania broni. Odczyt wiele podróży, rozmawia z dziesiątkami ludzi, cytuje i powołuje się na wiele opracowań. Z konieczności zatem ograniczę się do rozważań zawartych w pierwszej części "Rewolucji konserwatywnej" - "Wyczerpana lewica". Już sam tytuł jest wystarczająco wymowny. Kryzys amerykańskiej lewicy datuje się od końca lat siedemdziesiątych, ale od 1978 roku - zdaniem autora - kryzys ten nabiera bardzo konkretnego kształtu i przejawia się w 1980 roku odsunięciem liberałów od władzy. Tutaj trzeba wyjaśnić pewne zasadnicze różnice pomiędzy amerykańskim, a europejskim pojęciem liberała. "Amerykański liberał to człowiek lewicy, który nigdy nie słyszał o Marksie, dla którego Lenin jest czymś w rodzaju stracha na wróble. /.../ Amerykański liberał to przede wszystkim - rzecz paradoksalna - zwolennik etatyzmu /stat - po francusku znaczy państwo/. W przekonaniu, że los człowieka można poprawić w ciągłym rozwijającym się społeczeństwie, dla realizacji tego celu pokłada zaufanie w centralnym rządzie. /.../ Państwo rozumiane jest jako suma technik ekonomicznych i społecznych, których zastosowanie musi przynieść określone rezultaty." Program liberalny w Ameryce, inaczej niż w Europie, gdzie liberalizm oznacza coś zupełnie odwrotnego zakłada państwo centralne silne i interwencyjonistyczne, dokładną kontrolę administracyjną działalności gospodarczej, redystrybucję bogactw w oparciu o podatek progresywny i w postaci o-

pieki społecznej.

Kryzys amerykańskiej lewicy, amerykańskiego liberalizmu przejawia się w zwątpieniu tak w metody, jak i w cele. "Liberałowie, posługujący się dotąd pretekstem, że ich działalność służy interesowi ogółu, odkrywają teraz, że ich ideologia pozostawała w służbie osobistych interesów jednej tylko grupy społecznej: elity biurokratycznej, Nowej Klasy. /.../ liberalizm jest ideologią, za pomocą której Nowa Klasa utrwała swą władzę i swe przywileje". To ostatnie zdanie chciałbym szczególnie serdecznie zadedykować wszystkim naszym "prawdziwym socjalistom". To i następne: "Socjalizm regulujący i redystrybucyjny jest znośny i nie budzi zastrzeżeń, dopóki koniunktura jest zdołna niwelować jego niedogodności. Staje się nie do zniesienia, kiedy bogactwo utrzymuje się na tym samym poziomie albo jego poziom obniża się". Na gruncie amerykańskim lewica, Nowa Klasa, jest pasożytem, gdyż korzysta z dobrej koniunktury kapitalizmu wcale się do niej nie przykładając. Sprzyja redystrybucji bogactw, których nie wytworzyła i nie rozumie nawet sposobów ich wytwarzania. To cecha wspólna lewicy na całym świecie - chwytiliwe i pozornie sprawiedliwe programy podziału, żerujące na ekonomicznej nieświadomości mas i żadnego programu w sferze produkcji. Sprawiedliwość społeczna według lewicy miałaby polegać na tym, aby socjalistom przysługiwało prawo podziału tego, co pogardzany i krytykowany przez nich kapitalizm wytworzy.

Wielce interesującą jest teza przedstawiona przez Sormana. Opierając się na materiałach opracowanych przez Allena Matusowa ze źródeł Białego Domu, wydanych w książce "Ameryka obnażona" Sorman ukazuje, że konsekwencje programów społecznych, wprowadzanych na rzecz jakiejś grupy czy warstwy, kierowały się w ostateczności przeciwko owej grupie, utralając np. sferę ubóstwa w gettach murzyńskich. Pomoc społeczna bowiem likwidując głód, stanowi jednocześnie antybodyziec do włączenia się w normalny obieg ekonomiczny, co staje się udziałem milionów przybyszów do Stanów, pozbawionych szczególnych preferencji. Podobnie negatywne konsekwencje przyniosły programy oświatowe, bezpłatna opieka lekarska, czy program mieszkaniowy. "Przeznaczeniem każdego programu liberałów było albo wynagrodzić jakąś grupę nacisku, jakąś szczególną klientelę, albo doprowadzić nieumyślnie i w każdym przypadku do tego samego rezultatu." Przywileje, nadawane nawet w najszlachetniejszych intencjach, są takim samym narudzeniem zasady równości wszystkich wobec prawa, zasady takich samych praw dla wszystkich jak pozbawienie kogoś części praw. Inżynieria społeczna, jak konserwatyści określają działalność liberałów, jest równie groźna i nie do końca dająca się przewidzieć w skutkach, jak inżynieria genetyczna, jak naruszanie równowagi ekologicznej, jak każde nadmierne zaufanie do możliwości ludzkiego rozumu w dziele naprawiania świata. "Jednakże spór między lewicą a prawicą ma niewątpliwie charakter nie tyle techniczny co moralny. Dzielące je różnice polityczne zasadzają się na dwóch nie dających się ze sobą pogodzić systemach wartości. Liberałowie<sup>1)</sup> to świeccy humaniści, przyznający priorytet równości i dążący zaufaniem państwa w dziele zapewnienia regulacji społecznej. Konserwatyści<sup>2)</sup> to judeo-chrześcijańscy moraliści, nie zgadzający się na to, by metody integracji społecznej stosowane przez liberałów ograniczały wolność osobistą, nawet, jeśli swobody obywatelskie są źródłem różnorakich nierówności. Odwrotnie, niż Tocqueville, który uważał, że narody demokratyczne dążą do równości w wolności, ale pragnęłyby jej także i w niewolnictwie, konserwatyści sądzą, że nierówność jest zjawiskiem naturalnym i zamierzonym przez Boga. Tocząca się rewolucja konserwatywna, jeszcze nie zakończona, lecz raczej dopiero co zapoczątk-

kowana, jest zatem przede wszystkim rewolucją w sferze etyki społecznej."

A.J.

- 1/ w Europie - socjaldemokraci  
2/ w Europie - liberałowie

Guy Sorman

## Nowy kapitalizm

Rozmawiają ze sobą dwa gigantyczne banknoty. Pośrodku jednego, studolarowego, twarz Beniamina Franklina nagle się ożywia i przypomina, że wolność indywidualna jest nierozzerwalnie związana z wolnością inicjatywy. Na drugim, dziesięciodolarowym, Hamilton odpowiada, że demokracja zasadza się na prawie własności i stąd kapitalizm jest taką samą świętością co amerykańska konstytucja. Następnie oba automaty intonują hymn na cześć wolnej przedsiębiorczości, ku największej satysfakcji dużych i małych gości zwiedzających Enterprise Square w Oklahoma City.

Inne atrakcje tego Disneylandu kapitalizmu to elektroniczne maszyny, na których zwiedzający może grać we wszystkie zawody. Maszyna postawi mu zadania, które będzie musiał rozwiązać stosując zasady wspólne wszystkim grom video. Jeśli, na przykład, ktoś wybiera zawód producenta rogaliaków, musi uważać, żeby go nie spotkała najwyższa kara: zamrożenie cen przez rząd, co powoduje niechybną ruinę! W innej sali, anonimowa twarz - Państwo - najpierw wlicza wesoło zarządzenia wprowadzane dla ochrony obywateli, potem głos przyspiesza, w miarę jak przepisy stają się coraz bardziej skomplikowane, coraz byrdziej zniewalaające. Pod koniec programu maszyna zaczyna wariować, psuje się obraz i system eksploduje.

Enterprise Square jest jednym z najnowszych narzędzi, jakimi posługuje się ideologia kapitalistyczna w celu odzyskania umysłów. Jest to finansowana wyłącznie z funduszy prywatnych inicjatywa Uniwersytetu Stanu Oklahoma, inspirowana wynikami ankiety przeprowadzonej przez Instytut Gallupa wśród studentów. Ankieta wykazała, że większość z nich jest wroga wielkim przedsiębiorstwom - wielkiemu biznesowi - i przychylna federalnym zarządzeniom reglamentacyjnym oraz upaństwowieniu banków. Przeważająca część studentów nie znała podstawowych pojęć i mechanizmów kapitalistycznej ekonomii. A przy tym studenci wcale nie uważali się za lewicowych, lecz deklarowali się jako przeciętni Amerykanie. Rada administracyjna uniwersytetu, składająca się głównie z szefów przedsiębiorstw, które go finansują, postanowiła wtedy zorganizować krucjatę informacyjną, posługując się w tym celu najprostrzymi metodami: zabawą i komputerowymi nowinkami.

Show w Oklahomie to tylko jeden z wielu najbardziej widowiskowych przejawów prokalizmu, który owładnął szefami amerykańskich przedsiębiorstw. Trudno już teraz zliczyć wszystkie akcje oświatowe i kampanie propagandowe, których celem jest zaznajomienie laików nie tyle z działalnością samego przedsiębiorstwa, co ze sposobem jego funkcjonowania. Misja krzewienia nauk ekonomicznych, jaką przyjęli na siebie biznesmeni, wychodzi z prostego założenia: kto rozumie ekonomię, nie będzie liberałem! Praktyczne zastosowanie tej zasady ma wiele wspólnego z kursami Novaka dla księży i z wykładami Manne'a dla urzędników federalnych: lewica zeruje na ekonomicznej ignorancji mas.

Żywotność amerykańskiej prawicy wynika z całkowitego braku kompleksów w posługiwaniu się słowami i środkami, którymi gardzi lewica. Konserwatyści zrozumieli, że na rynku idei popłaca prostota. Wolna przedsiębiorczość, by nie rzec kapitalizm, to idea prosta i trafiająca do wszystkich.

Kapitalizm niósł światu dobrobyt bez precedensu - Michael Novak mówi o tym jak poeta, nawet jak kapłan - aż po dzień, gdy interwencja państwa podcięła mu skrzydła. To liberalizm spowodował kryzys i tylko przywrócenie wolnej przedsiębiorczości może nas z tego stanu wyprowadzić.

Nowy kapitalizm zasadza się na elementarnej teorii: teorii podaży. Podaż, czyli inicjatywa szefów przedsiębiorstw, tworzy bogactwo narodu; państwo - nigdy, popyt konsumentów - też nie. Z tego założenia wywodzi się również prosta polityka ekonomiczna: przedsiębiorstwo powinno być uwolnione z gorsetu ścisłych zarządzeń i od nadmiernych podatków. Jeżeli państwo nie będzie siedzieć na karku przedsiębiorstwom, dobrobyt, stabilne ceny i pełne zatrudnienie powrócą w sposób naturalny. "Wystarczy, mówi Reagan, by każdy odzyskał swobodę pracy, a amerykański ideał, od 40 lat niszczonego przez moich poprzedników, odżyje."

Teoria podaży, jądro nowego kapitalizmu, zdaje się całkowicie na elitę gospodarczą, na tych, których Kristol nazywa "aktywistami ekonomicznymi"; ich motywacje i ich działalność wyrunkują pomyślny rozwój. Zdaniem Kristola w każdym społeczeństwie istnieje niewielka grupa aktywistów ekonomicznych, których państwo zachęca lub zniechęca. Gdyby można było a priori wyodrębnić taką grupę, to tylko ona powinna uzyskiwać od państwa uprzywilejowany status fiskalny. Ponieważ wartość ich poczynąć można ocenić wyłącznie a posteriori, w interesie państwa leży zwolnienie od podatków wszystkich. W każdym razie krzywa Laffera zapewnia państwu wyjście na swoje dzięki dodatkowym zyskom, których źródłem jest obniżka podatków. Ci twórcy bogactw przyczynią się z kolei do zamożności innych; pieniądze bogatych przynioszą na dłuższą metę szczęście ubogim. W Stanach Zjednoczonych proces ten nosi nazwę trickie down effect. Przywodzi on na myśl kroplówkę, która sączy bogactwo z góry w dół. Mianem trickle down effect określano teorię społeczną, modną w latach dwudziestych. Demokraci wykorzystali termin i teorię w jadownej migawce telewizyjnej: elegancka kobieta ulewa ze swego kieliszka kilka kropli szampana w dłoń bezrobotnego. Podpis: Reaganomics, zbitka dwóch słów: "Reagan" i "ekonomia". Komentarz: "To niesprawiedliwe, bo Republikańskie".

Nowy kapitalizm jest z założenia nieegalitarny. Z całym rozmachem przeciwstawia się społecznej wizji liberałów, zdaniem których to nie elity tworzą bogactwo, lecz masy; popyt konsumentów uruchamia podaż producentów, a nie odwrotnie. Teoria popytu ma oczywiście te same pretensje naukowe co teoria podaży. I jedna i druga posługuje się uczynnym aparatem historyczno-badawczym i produkuje tyle samo wykresów, równań i uniwersyteckich rozpraw.

Trudno wszakże przyznać niekwestionowaną wartość naukową dwóm przeciwnym teoriom które, jak świat szeroki, są tak doskonale zbieżne z preferencjami politycznymi prawicy i lewicy...

Obie postulują rozwiązania społeczne wysoce niesprawdzaalne. Teoria popytu, sformułowana przez Keynesa, opiera się na masach; teoria podaży - na elitach. Pierwsza bada postawy konsumentów, druga - producentów. Keynesizm zaleca władzy politycznej, by dała pieniądze masom, najlepiej posiadaczom skromnych dochodów, żeby wydali je jak najprędzej. Teoretycy podaży uważają, że pieniądze należy dać elitom, a

przynajmniej nie pozbawiać ich środków finansowych, by mogli je powtórnie zainwestować; elity te można rozumieć bardzo szeroko: George Gilder sugeruje, by zaliczyć do nich wszystkich szefów przedsiębiorstw oraz tych, którzy mają takie powołanie.

W poglądach na funkcję państwa obie teorie różnią się radykalnie. Dla liberalnych keynesistów zadaniem państwa jest ochrona konsumentów przed dyktatem producentów i podtrzymywanie popytu w przypadku trudności ekonomicznych. Dla teoretyków podaży, państwo-widz powinno jedynie czuwać nad dobrym funkcjonowaniem rynku i usuwać to, co mogłoby zakłócić jego doskonały mechanizm.

Za sporem naukowym między tymi dwiema teoriami ekonomicznymi kryje się więc spór polityczny. Teoria popytu jest egalitarna, statyczna i socjalizująca; teoria podaży jest indywidualistyczna, nieegalitarna, antyetatyczna i anarchizująca.

W oczach konserwatystów nie można zatem uważać kryzysu ekonomicznego za usterkę techniczną. Jest to kryzys liberalnego systemu politycznego. Niedostatki teorii Keynosa pozwoliły liberałom, pod pretekstem utrzymania wzrostu, "usprawiedliwić" zwiększenie uprawnień i składu osobowego biurokratycznej Nowej Klasy, rozrzutność socjalną i beztroską budżetową. Keynesizm urządził Nową Klasę w każdych okolicznościach: w okresie gospodarczego rozkwitu i ona; kwitnie też w okresie kryzysu ponieważ "trzeba" wtedy zwiększyć wydatki publiczne, żeby pobudzić popyt. W gruncie rzeczy te koniunkturalne posunięcia są podwójnie bezużyteczne: zwiększają obciążenia przedsiębiorstw, kiedy trzeba by było im ulżyć /deficyt budżetowy powoduje wzrost stopy procentowej, a zatem wzrost kosztów prywatnych inwestycji/ i, co więcej, taka działalność państwa budzi natychmiast społeczną podejrzliwość. Producenti i konsumenci wiedzą przecież, że pieniądze tylko pozornie jest więcej i że ożywienie gospodarcze jest sztuczne: przyjmują postawę sprzeczną z oczekiwaniami władzy politycznej. Ta ludowa mądrość, którą amerykańscy konserwatyści wysoko cenią, nosi nazwę teorii racjonalnej antycypacji.

Zwolennikom Keynosa, którzy dobrobyt z lat 1945 - 1973 uważają mimo wszystko za swoją zasługę, teoretycy podaży odpowiadają, że zbieg okoliczności nie może zastąpić wyjaśnienia i że jedynie prężność producentów w tym okresie pozwoliła liberałom sprawić sobie państwo opiekuńcze aż w końcu, pod brzemieniem obciążeń budowla runęła.

Kryzys - kombinacja inflacji i bezrobocia - został zatem "zorganizowany" przez liberałów. Błąd w rozumowaniu Nowej Klasy tkaczy się trochę o własne interesy. Mając je na względzie naprawić błąd nie może - chyba, że uzna swą niekompetencję i bezużyteczność społeczną, zwracając aktywistom społecznym swobodę inicjatywy.

Zdaniem lewicowego czasopisma "The Nation", "spór między przedsiębiorstwami a Administracją osiągnął rozmiary prawdziwej walki klas". A zatem obie strony interpretują te zmagania jako historyczną konfrontację między aktywistami ekonomicznymi a biurokratyczną Nową Klasą. Za granicą ocenia się powszechnie zbyt nisko stopień zależności prywatnych spółek od amerykańskiej administracji. W rzeczywistości są one niewolnikami gęstej sieci nakazów, poczynając od klasycznych norm bezpieczeństwa pracy aż po bardzo szczegółowe przepisy dotyczące ochrony środowiska i zatrudniania mniejszości rasowych. Przestrzeganie dopuszczalnych norm zanieczyszczenia powietrza w przemyśle motoryzacyjnym kosztuje 1800 dolarów od samochodu, przyczyniając się tym samym w sposób decydujący do utraty konkurencyjności. Przepisy drogo kosztują konsumentów i dławią działalność przedsiębiorstw. Całe legiony adwokatów /i na 500 mieszkańców - rekord światowy/ wytrwale bronią sektor prywatny przed interwencją państwa.



Ala w piętnaście lat po wielkich triumfach Ralpha Nadera nad przemysłem samochodowym - w 1966 roku uzyskał wyrok nakazujący General Motors wycofanie z rynku Chevroleta "Corvair", zagrażającego wpadnięciem w pułapkę przy dużych prędkościach - wymiar sprawiedliwości przeszedł na stronę przedsiębiorstw, w znacznej mierze dlatego, że w procesach tego rodzaju państwo już nie uczestniczy albo nie popiera związków konsumentów. Rząd Reagana kontynuując i rozszerzając zakres akcji porządkowania przepisów rozpoczętej przez Cartera od transportu lotniczego, w ciągu dwu lat zniósł większość restrykcji w komunikacji drogowej i kolejowej, w bankowości oraz w łączności. Od tej pory banki są upoważnione do dokonywania przelewów odsetek na konta bieżące, przewoźnicy mogą swobodnie wybierać drogę, a stacje płatnej telewizji ustalają program i moc nadajników według swej woli. Trzeba tutaj podkreślić wspólną tym wszystkim anty-rozporządzeniom filozofię. Chodzi oczywiście o pobudzenie przedsiębiorczości i o reaktywowanie konkurencji, ale przede wszystkim o ponowne wprowadzenie w obieg społeczny pojęcia ryzyka. Społeczeństwo wyposażone we wszystkie możliwe przepisy i rozporządzenia to społeczeństwo bez ryzyka. Działalności Nadera od początku przyświecał naturalnie zamiar wyeliminowania różnych postaci ryzyka, na jakie niektóre produkty narażały konsumentów. Zdaniem konserwatystów, bez ryzyka nie ma ani motywacji, ani wzrostu, ani zamożności. Nowy kapitalizm stanowi zatem rehabilitację przedsiębiorczości, konkurencji, zysku, ale przede wszystkim ryzyka jako czynnika społecznej innowacji.

Czy ten nowy kapitalizm zdaje egzamin i czy można wydać ocenę Reaganowi po dwóch latach funkcjonowania?

Teoretycy podaży natychmiast przyjmują postawę obronną tłumacząc, że w rzeczywistości ich zalecenia nigdy nie zostały wprowadzone w życie, że zniekształciły je polityczne kompromisy. W szczególności obniżka podatków nie była jakoby na tyle "drażliwa", by spowodować ożywienie podaży. Takie jest stanowisko Jude Wanniski'ego który uważa, że politycy mieli zawsze za mało charakteru by ograniczyć praktyki interwencyjne państwa. Trzeba więc obwarować działalność parlamentu i władz skarbowych nie podlegającymi przedawnieniu przepisami konstytucyjnymi: obowiązkiem równowagi budżetu - wyjąwszy stan wojny - i przywrócenie parytetu złota w stosunku do dolara, dla zapobieżenia manipulacjom kredytami.

Druga linia obrony teoretyków podaży polega na ujawnianiu sprzeczności, które przeciwstawiają ich - w łonie samej prawicy - monetarystom. Monetarysty kontrolują bank centralny /Federal Reserve System/, który niezawiesznie ustala ilość pieniądza w obiegu. Władze monetarne, pragnąc przeciwdziałać inflacji, której źródło widzą w nadmiernym kredytowaniu, rozmyślnie pozwoliły na wzrost stopy procentowej. Środki te rzeczywiście powstrzymały wzrost cen ale, zdaniem teoretyków podaży, całkowicie zniechęciły inwestorów, pomimo zniżek fiskalnych.

Trzecia linia obrony: upłynęło zbyt mało czasu, by oceniać wyniki. Prawda jest taka, że czas ekonomistów i czas polityków nigdy nie płyną równolegle. Jest to nawet jeden z głównych powodów ciągłych zmian orientacji, jakim podlegają demokracje zachodnie od roku 1973, bowiem żaden rząd nigdy nie ma dość czasu na dotrzymanie obietnic i żadna teoria ekonomiczna nie jest w stanie sprostać wymaganiom politycznym w wyznaczonych jej ramach czasowych.

Preteksty, jakie teoretycy podaży wymyślili na swoją obronę - kompromis, sprzeczności, krotki czas - nawet, jeśli mają swoją wagę, są jednak nie do przyjęcia. Bowiem jakaż byłaby wartość naukowa teorii humanistycznych, gdyby dotyczyły one wyłącznie świata sterylnego i



doskonałego? Ich zalety, zawsze względne, muszą właśnie sprawdzać się w ogniu rzeczywistości politycznej. Przedstawiając bilans ekonomiczny swych rządów w połowie kadencji, Ronald Reagan uznał się za zadowolonego ze spadku inflacji /z 12,7% w styczniu 1981 do poniżej 5% w 1983 roku/, ze zmniejszonego tempa wydatków publicznych /- 17% w 1981 roku/ - z wyłączeniem wydatków wojskowych /+ 21%/ - z obniżenia stopy procentowej i ze złagodzenia reżimu podatkowego /obniżka podatku dochodowego o 10% w 1981 i o nowe 10% w 1983 roku/.

Wcale jednak nie jest pewne, czy reaganonomia daje większe gwarancje rozwoju gospodarczego niż keynesizm. Czy teoria podaży mimo wszystko zda egzamin? Tak, jeśli sądzić ją nie podług kryteriów jej przeciwników, lecz według jej własnych zasad, w ramach jej własnej spójności.

Krytycy z zewnątrz, należący do tradycji liberalnej, uważają, że państwo musi i może pobudzić wzrost. Teoretycy podaży zaś sądzą, że właśnie państwo jest absolutnie do tego niezdolne. Irving Kristol formuluje bardzo jasno ten zgola fundamentalny problem niewyjaśnionej natury wzrostu. Jeśli jest ona niewyjaśniona, to dlatego, że sam wzrost jest "naturalny". Wymyka się nakazom politycznym, a poddaje się ludzkiej przedsiębiorczości, zamiarom historii i skokom technologicznym. Teoria podaży wyznacza zatem sobie skromny cel - skromniejszy od planu keynesistów - ale zasadniczy, a mianowicie: umożliwić aktywistom ekonomicznym i przedsiębiorstwom "uchwycenie" fali wzrostu. Państwo konserwatywne nie powinno - wręcz nie może - wynaleźć wzrostu w zastępstwo inicjatywy prywatnej ale może, dając kapitalizmowi więcej swobody, we wzroście nie przeszkadzać. Tak więc ożywienie gospodarcze w roku 1983 tłumaczy się spójnością polityki monetarnej i skarbowej w połączeniu z powrotem zaufania do rządu tak wśród szefów przedsiębiorstw, jak i konsumentów.

Największej jednak sprawności teoria podaży dowiodła w sferze krytyki. Liberalny keynesizm został zdyskredytowany, wyeliminowany wszędzie, nawet w krajach socjalistycznych takich, jak Francja. Od czasu, gdy nowy kapitalizm stał się sprawą publiczną, rządy krajów przeżywających kryzys niekoniecznie wskazując na źródło, skąd czerpią, na nowo odkrywały zalety wolnej przedsiębiorczości. Przeciwwagą wixonowskiego "dżysycy jesteście dziećmi Keynesa" stało się dziesięć lat później inne, nie sformułowane jeszcze hasło: w istocie ojcostwo teorii podaży jest trudne do ustalenia, tak doskonale zgodzą się ona ze zdrowym rozsądkiem i z doświadczeniem wszystkich narodów.

## Ameryka, Ameryka

Trudno uwierzyć, że jestem w kraju dopiero od kilku dni. Jeszcze parę dni temu znajdowałem się w zupełnie innym świecie, świecie dla Polaka czasem bardziej niezrozumiałym niż Czarny Ląd czy Chiny. Bo jest Ameryka dla nas, obywateli państwa komunistycznego /nie ważne, że nie z własnej woli/, krajem pod wieloma względami obcym cywilizacyjnie. Uważam, że niezależnie od różnic wynikających z odmiennych tradycji i historii istniejących pomiędzy wszystkimi narodami, między nami - narodami podbitej Europy Wschodniej, a Zachodem zaistniały w ciągu ostatnich czterdziestu lat bariery, które być może trudniej jest przekroczyć niż bariery oddzielające nas od krajów tak zwanego Trzeciego Świata. Nie ulega to wątpliwości, jeśli chodzi o barierę ekonomiczną: polska stopa życiowa i tempo rozwoju gospodarczego czynią nas bliższymi krewnymi Chińczyków czy Nigeryczyków niż Amerykanów. Dużo istotniejsza jest jednak bariera kulturowa. Sądzę, że niechęć-

nie dopatrujemy się jej istnienia. Niemniej czterdzieści lat rządów komuny na pewno zostawiło na nas piętno. To ono powoduje, że każda podróż na Zachód jest zawsze silnym przeżyciem, ponieważ jest podróżą do innej, w naszym pojęciu lepszej i tak bardzo pożądanej u nas cywilizacji - cywilizacji dynamicznej, imponującej organizacją i jej materialnymi skutkami, otwartej na zewnątrz, nie zasklepionej, jak nasza, w skostniałym prowincjonalizmie, ideologicznej kaenofobii, gospodarczej prowizorki i indolencji. Idąc w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku czy Montrealu przybysz z Polski, nawet z dużego miasta, czuje się zagubiony, obezwładniony ruchem, kolorami /zarówno reklam jak i twarzy/, ogromną różnorodnością życia, które u nas - nie da się ukryć - jest zbyt często szare i monotonne jak architektura naszych osiedli mieszkaniowych w listopadowej aurze.

Chociaż akceptujemy intelektualnie nieskrępowaną wolność polityczną, ekonomiczną czy poglądową, zetknięcie się z nią w kraju zachodnim ma w sobie coś z szoku kulturowego. Te czterdzieści lat komuny przyzwyczaiło nas do nihilistycznego spojrzenia na sens konstruktywnych poczynąń ludzkich, na sens bycia hardym i nienasyconym, dlatego coraz trudniej nam zrozumieć człowieka Zachodu. Człowiek Zachodu nie zrezygnował, jak wielu z nas, z bezsensownej z naszego punktu widzenia walki z bezduszną i niemrawą biurokracją, z terrorem politycznym i nadużyciami władzy; nie zrezygnował też z nadziei na życie dostatnie i godziwe jako wolny i niezależny obywatel. Ten pozytywny i - w naszym pojęciu - często naiwny stosunek do życia człowieka Zachodu wydaje się nam nie do przyjęcia. Jest to właśnie piętno, które wszyscy nosimy - my, dzieci PRL. My z góry zakładamy, że nasz świat jest zły - przynajmniej ten system i ludzie, którzy nami rządzą. Po upadku kolejnego powstania narodowego, jakim był zryw Solidarności, wielu z nas chyba zdało sobie sprawę z tego, że z tym złem musimy żyć. Nawet w okresie Solidarności przeważająca chyba koncepcją było tolerowanie partii, chociażby nieszczerze, jako czysto tytularnego i bezsilnego "przywódcy" narodu. Nasza tradycja tolerancji dla zła rodzi nietolerancję dla "nawnie" altruistycznej postawy charakterizującej tak wielu ludzi Zachodu. Nasza mniej czy bardziej świadoma tolerancja dla dyktatury, represji, upodlenia, biedy, stagnacji i szarzyzny jest pomostem między nami a krajami Trzeciego Świata.

Polakowi trudno zrozumieć, dlaczego Amerykanie obalili Nixona za rzecz tak błahą jak szpiegowanie kontrkandydata w wyborach prezydenckich. Dla nas afera Watergate jest chyba przykładem naiwności czy wręcz głupoty politycznej Amerykanów, podobnie jak ruch pacyfistyczny, protesty przeciwko wojnie w Wietnamie, i tak dalej. Drażniące jest dla nas traktowanie przez Amerykę, czy też przez Europę Zachodnią, Rosjan jako pełnoprawnych i godnych zaufania partnerów politycznych. Osądzając tak surowo "zgniły" Zachód, który skądinąd przecież darzymy wielokrotną sympatią, wychodzimy z założenia, że nie mają prawa być tak krytyczni wobec własnej demokracji bo, krótko mówiąc, nie ma lepszej alternatywy, a takie krytykowanie osłabia ich tylko i naraza na znalezienie się wkrótce pod kontrolą sowiecką. Jedną z przyczyn takiego myślenia o polityce Zachodu jest PRL-owski багаж sceptycyzmu wobec jakiegokolwiek moralnego traktowania polityki. Bez zlikwidowania zagrożenia sowieckiego Zachód nie może "moralizować" w polityce à la Carter, powie dzisiejszy Polak. /Pisząc te słowa zdaję sobie oczywiście sprawę, że nasza oficjalna polityka PRL-owska jest, zgodnie z opinią naszych organów prasowych, wcieleniem moralności. Ta rażąca hipokryzja wzmacnia tylko powszechne przekonanie o makiawelistycznym charakterze "ludowej sprawiedliwości"/.

Ameryka, jaką poznałem, mieszkając tam przez kilka lat, jest społeczeństwem ludzi patrzących na politykę przez pryzmat moralności. Oczywiście nie oznacza to, że polityka ich jest zawsze moralna. Nie o to jednak chodzi. Twierdzą, że nieprawdą jest, iż poprzez swoje moralne myślenie o polityce są Amerykanie osłabieni wewnętrznie i waku-tek tego nie są w stanie sprostać zagrożeniu ze strony ZSRR. Polityka Reagana, przy całym swoim pragmatyzmie, oparta jest na bardzo wyraźnie sformułowanych zasadach dobra i zła. To on nawiązał imperium radzieckie "złym mocarstwem" i wydaje się, że w swoim moralnym widzeniu polityki cieszy się dużym zrozumieniem i poparciem narodu amerykańskiego. Jednocześnie toleruje on, podobnie jak rządy państw zachodnioeuropejskich, mniej lub bardziej pacyfistycznie nastawioną opozycję. Jest to konsekwentna realizacja zasady wolności poglądów. Być może, że defetystycznie nastawiona opozycja jest mniej czy bardziej świadomie manipulowana z Moskwy. Siemniej jest ona przewidziana zasadą wolności wyboru jednostki i - jak dotąd - niezbyt osłabia siłę obronną Zachodu. Większość Amerykanów popiera reaganowską politykę znacznego zwiększenia potencjału militarnego USA i nie jest podatna na ideologię zrezygnowania z polityki wywierania presji na ZSRR z pozycji siły.

Aczkolwiek wiele można zarzucić Amerykanom, jeśli chodzi o ich nawiśne podejście do polityki zagranicznej /sprawa Kuby, Angoli, Iranu, itd./, to od takiej naiwności nikt nie jest wolny. Nie jesteśmy wolni i my, patrząc na Zachód z punktu widzenia podbitego narodu. Wydaje mi się, że przeceniamy siłę wpływów radzieckich na świecie. Na pewno nie są oni już żadnym zagrożeniem ideologicznym w świecie zachodnim, gdzie partie komunistyczne znajdują się w sytuacji głębokiego regresu i utraty wpływów. Zmniejsza się też wpływ ideologiczny ZSRR na kraje Trzeciego Świata, które coraz częściej wybierają politykę niezależną. Potencjał militarny jest ściśle związany z sytuacją gospodarczą i stanem technologii, nie można więc rościć Rosjanom, zacofanym w tym względzie, najniższych nadziei na dotrzymanie Zachodowi kroku nawet na krótką metę. Rewolucja komputerowa spotęgowała rozwój technologii wojskowej tak znacznie, że Rosji nie wystarczą tysiące coraz bardziej starożytnych czołgów na szantażowanie Zachodu. Jest prawdopodobne, że ich arsenał atomowy stanie się za jakiś czas niepraktyczny ze względu na możliwość zniszczenia lub unieszkodliwienia go za pomocą nieosiągalnej dla Rosjan nowej technologii wojskowej. Z punktu widzenia strategicznego sytuacja radziecka jest nie do pozazdroszczenia. Dotychczasową agresywną polityką zagraniczną doprowadzili Rosjanie do sytuacji, w której ich państwo, porażone gospodarczym i administracyjnym paraliżem, ma na karku cały świat i jest, praktycznie rzecz biorąc, bez sojuszników. Jeśli nawet przyjąć, że ogólny potencjał wojskowy ZSRR jest porównywalny z amerykańskim, to jakie rezerwy siły, jaki ekwiwalent mogą znaleźć Rosjanie dla takich sojuszników amerykańskich, jak RFN, Anglia, Francja, Japonia, Kanada, Rzechy, Brazylia? Zdają sobie też pewnie sprawę "ludzie radzieccy" z niepokojącego sąsiedztwa Chin, które z łatwością mogłyby starą rosyjską metodą nakryć czapkami całą azjatycką część ZSRR.

Zmierzam do tego, że Zachód stać na popełnianie pewnych błędów taktycznych wobec ZSRR, wynikających z naiwności politycznej, a to dlatego, że jest w sumie stroną silniejszą. Jeśli chodzi o główną oś stoją potęgi Zachodu - USA, jest to - z moich obserwacji - kraj, któremu daleko do rozpadu wewnętrznego, jak to się może nieraz wydawać zaniepokojonym Polakom. Spójność wewnętrzna Amerykanów nie została osłabnięta na mocy dekrety, dyktatury, czy też innych znanych nam środków. Często krytyczni wobec własnych władz i ich polityki, hołdując kultowi pieniądza i egoistycznej filozofii życia, są silni. Jest to, jak

zaobserwował Stefan Bratkowski w książce "Oddalający się kontynent", olbrzymi, pozornie chaotyczny i nieporadny moloch, który jednak zawsze w chwili potrzeby potrafi zamienić się w potężny walec, bezwzględnie miazdzący przeciwnika. Jystem amerykański wychowuje swoich obywateli w atmosferze pełnej aktywizacji sił twórczych. Są to ludzie zdrowi, silni, wysportowani, wypracowujący sobie w pocie czoła własny dobrobyt. Jakież to odmienny obraz od nieprawdziwych wizji "zgniłego" i chylącego się ku upadkowi kapitalizmu! Jakżeż marnie wygląda na tym tle sowiecki "nowy, wspaniały świat", ze swoją nędzą i demoralizacją.

Nie sposób patrzeć na amerykańską kulturę doskonałej organizacji i dobrobytu bez przysłowiowej "szczypty soli". Nie sposób nie zauważyć, że nie wszystkim tak dobrze się powodzi w tym raj dla ludzi bogatych, że przybyszowi z Polski stosunki międzyludzkie zdają się nieraz mniej "ludzkie", że uprawianie sportu, hobby czy przynależność do fanatycznej sekty religijnej marną może być rekompensata za nikłe więzi rodzinne czy społeczne. Wiele by można mówić na temat przestępczości albo nawet względności wolności politycznej na amerykańskiej "ziemi obiecanej". Jest to kraj ludzi zaprzątniętych własnymi sprawami, problemami, coraz bardziej oddalający się od nas kontynent. # odróżnieniu od Polaków, ci ludzie od pokoleń zajmują się bardziej własnymi sprawami, niż sprawami innych. To robią dopiero wtedy, kiedy naprawdę muszą. Może na tym polega właśnie ich naiwność?

# odróżnieniu od sytuacji polskiej, środki masowego przekazu w USA wywierają duży wpływ na świadomość polityczną obywateli amerykańskich. Stereotypy tworzone przez prasę czy telewizję są tam dużo łatwiej przyjmowane przez społeczeństwo niż to dzieje się w Polsce /na szczęście dla nas/. Stosunkowo duża jedynomyślność w środowisku dziennikarskim USA w traktowaniu sprawy radzieckiej czy polskiej wywiera więc znaczny wpływ na poglądy przeciętnego Amerykanina. Jakież są więc te stereotypy? Zarówno z lektury prasy jak i rozmów z Amerykanami polityka radziecka całkiem jednoznacznie przedstawia się jako agresywna i niemożliwa, dążąca do stopniowego opanowania świata w celu następnego eksploataowania podbitych krajów. O ile od czasu zimnej wojny ZSRR nigdy nie miał "dobrej prasy", o tyle te tendencje nasiliły się ostatnio, od czasu Afganistanu, Polski i, całkiem niedawno, skandalu ze strąceniem samolotu południowokoreańskiego. To ostatnie wydarzenie dosłownie wstrząsnęło Ameryką i bardziej uwiarygodniło wypowiedzi prezydenta Reagana nie mającego wątpliwości co do świadomie prowadzonej przez ZSRR polityki zła. Podsumowując, wydaje się, że owo skojarzenie "zła" z pojęciem ZSRR i komunizmu jest powszechne w USA, i jeśli nie jest nawet systematycznie używane przez środki przekazu, istnieje w świadomości przeciętnego Amerykanina.

Tematyka polska jest wciąż bardzo popularna, choć niewątpliwie nie w tym stopniu, co za czasów Solidarności czy też pierwszych dni "wojny". Wówczas przez dwa lata Polska nie schodziła z pierwszych stron gazet, co na warunki amerykańskie było faktem niezwykle: większość prasy amerykańskiej to prasa lokalna i zagadnienia polityki zagranicznej są jej dość obce. # każdym razie kolejne wybuchy bezkrwawych w końcu konfliktów między Solidarnością a rządem były w opinii dziennikarzy amerykańskich wystarczająco spektakularne i budzące sensację, aby umieszczać je na pierwszej stronie. Źródełwi twierdzili, że uwydatniając konflikt polski Reagan stara się zatuzować własne kłopoty z amerykańskimi związkami zawodowymi /np. w wypadku strajku kontrolerów lotu/, niemniej trzeba sobie zdać sprawę, że Reagan nie ma większego wpływu na prasę czy telewizję amerykańską i popularność sprawy

polskiej wypływała przede wszystkim z bardzo dużego poparcia społecznego jakim cieszyli się walczący o wolność Polacy. To jednoznaczne zaangażowanie się po stronie Polski niesłusznie byłoby tłumaczyć, jak tego próbowała nasza propaganda, wyrachowaniem czy grą polityczną. Zarówno gospodarką, jak i kulturą amerykańską kieruje podstawowy mechanizm popytu i podaży, i w tym wypadku najwyraźniej amerykańskie środki przekazu, nie zmuszane przez żadną oficjalną władzę, starały się sprostować popytowi zarówno na informację jak i na przychylny komentarz o Polsce.

Zenon Kołodziejski

## Pomóż sobie sam

Postępowiec uważa, że zawsze ma rację, to wynika z samej definicji postępu. Rysuje sobie drogowskazy, potem co najwyżej przeprasza, że trochę się pomylił, ustawia drogowskazy inaczej i nadal ma rację. W naszej kulturze, karmionej przez cztery dziesięciolecia sloganową papką, mało kto powie o sobie, że jest konserwatystą. Na szczęście są jeszcze kraje, gdzie można być konserwą bez wstydu.

Tak się jakoś składa, że najpostępowsze w bezspornej dziedzinie techniki, technologii, umiejętności jej wykorzystania, a więc w dziedzinie zgodności sił wytwórczych ze stosunkami produkcji są właśnie kraje rządzone przez konserwatystów. Reagan, który ze swoją trafną intuicją został niemal papieżem neokonserwatyzmu zapędza się czasem tak daleko, że nawet naszym rodzinnym konserwatystom włoś się języ: ostatnio chce reprivatyzować służbę meteorologiczną, uważając, że jeśli to komu potrzebne - niech płaci, czemu płacić ma ogół?

Nasza oficjalna propaganda wydziwia, że taki potężny kraj jak USA nie potrafi wyżywić całej swojej ludności, ilu to głodnych /zwłaszcza czarnoskórych/ idzie spać bez kolacji. Tak, to szokujące, kiedy się widzi koło siebie takie bogactwo i taką biedę jak w niektórych wielkich miastach amerykańskich. Nie tylko dla nas, także dla zachodnich Europejczyków. Zanim się jednak potępi Amerykę globalnie /nota bene bardzo nie lubimy, kiedy nas się ocenia na podstawie wrażeń, a zagraniczni dziennikarze, którzy opisują kolejki albo akcję milicji są pocuczani, że trzeba badać źródła tych zjawisk/, trzeba zrozumieć, na jak odmiennie głębie formowała się tanta kultura i tanta filozofia życia.

Ameryka została skolonizowana przez uchodźców z Europy, którzy szukali ziemi, wolności, ucieczki przed feudalną tyranią. Wszystkie ich ustrojowe regulacje tworzone były z myślą przede wszystkim o tym, żeby nie dopuścić do tego, od czego uciekli. I chociaż do konstytucji zaprojektowanej przez Washingtona i Jeffersona wprowadzono później wiele poprawek, to w zasadzie jej szkielet, mimo że o ponad sto lat starszy od leninizmu, lepiej się sprawdza w praktyce i łatwiej przystosowuje do kapryśków rozwoju cywilizacji.

Ostatnia wielka zmiana w amerykańskiej praktyce politycznej nadeszła po czterech latach prezydentury pocziwego i inteligentnego, ale błądzącego po bezdrożach chrześcijańskiej dobroci Cartera. Amerykanie potrzebowali czterech /a nie, jak my, czterdziestu/ lat, żeby się zorientować, że natura ludzka nie składa się z samego dobra, że zatem nie można rezygnować z oddziaływania na jej niskie instynkty, jak lęk, głód, chłód, ale także chciwość, ambicja, pycha. Tam nie wstyd powiedzieć o kimś "on jest wart tyle a tyle dolarów", bo naprawdę wartość człowieka w USA lepiej można ocenić poprzez stan konta: ubogi geniusz,

to typowo europejski wynalazek, który tam się nie przyjął.

Za Reagana stosunki społeczne usztywniły się, coraz mniej było darmochoy, zamiast zgarniać wielkie podatki i niwelować nierówności społeczne zaczęto proces odwrotny, niech bogaci będą jeszcze bogatsi, niech inwestują, tworzą nowe miejsca pracy, w ten sposób i biedniejsi sami na siebie zarobią. Taki właśnie program zapowiadał Reagan i taki zaczął realizować. Ekspertci przyglądali się jego rozgrywce z zapartym oddechem: wyglądało to jakby nienajlepszy gracz, z nienajlepszą kartą miał ogromne szanse, każdy niemal impas mu wychodził. Dolar się umocnił, inwestycje ruszyły, nowych miejsc pracy zaczęło przybywać w ogromnym tempie i chociaż jest wiele zjawisk niepokojących, to w jakimś kraju ich nie ma?

Jeżeli mowa tu o odmiennej glebie i odmiennej filozofii życia - trzeba zrozumieć, że Ameryka nigdy nie była państwem scentralizowanym i jej obywatele nigdy nie oczekiwali, że gdzieś w jakimś Waszyngtonie ktoś wymyśli dla nich "program żywnościowy", czy "program mieszkaniowy". Zasada amerykańskiej praktyki i zarazem konserwatywnej filozofii jest "pomóż sobie sam". Głośno o imigrantach z Rosji czy z Europy Wschodniej, którzy z ulgą przybywają do tej ziemi obiecanej, a potem nie umieją w niej zapuścić korzeni. To właśnie dlatego, że czekają, aż ktoś im pomoże. To także dlatego, że w swoich dawnych krajach swój gniew kierowali przeciw temu, że na bazarze są banany po półtora tysiąca złotych, na które ich nie było stać - zamiast tę energię zużyć na zarobienie większej sumy pieniędzy. W Ameryce nikt się nie będzie oburzał na futro na Piątę Alei za 200 tysięcy dolarów i może dlatego każdego niemal stać na przyswoitą kapotę za 50 dolarów.

Naszą stronę świata jednak najbardziej irytuje nie nierówność społeczna, nie ograniczona sieć ubezpieczeń, nie zmniejszenie funduszy stypendialnych i inne ciosy, które oszczędnościowa polityka Reagana wymierza czarnym, młodzieży, kobietom i innym grupom upośledzonym. Najbardziej nas irytuje, że w tych drastycznych oszczędnościach budżetowych, które chcielibyśmy naśladować z naszym deficytem, ale nie potrafimy - nienaruszona pozostaje jedna pozycja, mianowicie zbrojenia.

Tak, Ameryka się zbroi. Nie chciałaby, bardzo by nie chciała doświadczyć na sobie tego, co w różnych fantazjach filmowych pokazuje telewizja, mianowicie zapanowania w swoim kraju władzy rad. Ameryka zbroi się przeciw wrogowi zewnętrznemu. Liberałowie, jeżeli dojdą do wniosku, że era konserwatyzmu minęła i zechcą apelować do narodu amerykańskiego, żeby teraz im powierzył władzę - mogą być pewni, że przeciw nim wojsko nie zostanie użyte.

**Eugeniusz Majchrzyk**

## **Szpieg**

Teoretycznie co drugi przesiedleńca z Łódzki stawał przed jego obliczem, o ile oczywiście przesiedleńca ów miał zamiar zatrzymać się w Breście. Heinz Peter Arnold, średniego wzrostu trzydziestocześcioletni mężczyzna o bardzo przeciętnym wyglądzie, pracował na niezbyt wysokim, ale za to ważnym stanowisku w Urzędzie Przesiedleńczym w Breście. Do jego zadań należało opracowywanie podań o przyznanie statusu przesiedleńcy (/Aussiedler/). Arnold zajmował się teoretycznie tylko tymi wnioskodawcami, których nazwiska zaczynały się na litery od N do Z. W rzeczywistości jednak, w ramach koleżeńskiego układu, często za-



stępował swojego kolegę od pierwszej połowy alfabetu, co dawało mu wgląd do pozostałych akt.

Jeśli można wyobrazić sobie ideał dobrego urzędnika, to Arnold był mu naprawdę bliski. Rzeczowy, sumienny, uprzejmy i cierpliwy, poza jednym chyba tylko przypadkiem, kiedy w wyniku depresji psychicznej przez cztery dni nie zjawił się w pracy, nie dawał najmniejszych powodów do skarg ze strony tak petentów, jak i kolegów i przełożonych. Polska, jako temat do dyskusji, dla niego nie istniała. «Pracy rozmawiał wyjątkowo na temat obniżek cen w supermarketach. Dziwiło to wprawdzie nieco jego kolegów wiedzących doskonale jak trudno oderwać się od spraw byleję ojczyzny, nawet jeśli się uważa za stuprocentowego Niemca. Sądzili oni, że Arnold, jak to się nieraz zdarza, chciał być bardziej niemiecki niż sami Niemcy. Usłyszeć z jego ust parę polskich słów było prawie niemożliwością.

W połowie marca tego roku wybuchła bomba. Najpierw telewizja, a potem gazety podały wiadomość o aresztowaniu polskiego szpiega. Heinz Peter Arnold nazywał się naprawdę Jerzy Kaczmarek i był porucznikiem polskiego wojska.

Porucznik Kaczmarek starannie został przygotowany do swojej misji. Miał on znaleźć się w RFN jako przesiedleńiec i starać się dostać na jakieś interesujące polski wywiad stanowisko. Heinz Peter Arnold nie był postacią wymyśloną. Ktoś taki istniał w rzeczywistości. Był to Niemiec urodzony w Polsce, którego matka przed ponad dwudziestoma laty wyjechała z Polski i osiedliła się w NRD, podczas gdy syn pozostał w kraju urodzenia.

Kaczmarek, już pod nazwiskiem Arnold, rozpoczyna najpierw jako nauczyciel niemieckiego w szkole w Mońkach koło Bydgoszczy. Przesorność, która się opłacała. Później, już w Bremie, trafia na kolegę nauczyciela z tej samej szkoły... «Trakcie pracy pedagogicznej odzywa się w Kaczmarku - Arnoldzie "niemiecka krew". Składa podanie o przesiedlenie.

Rok 1978 zastaje go w Bremie. Mówiący płynnie młody przesiedleńiec, co jest już rzadkością, nie musi chodzić do szkoły, aby uczyć się ojczyznego języka. Sytuacja na rynku pracy była zupełnie inna niż dzisiaj. Nic dziwnego, że już w kilka tygodni po przybyciu do RFN rozpoczyna pracę w Urzędzie Socjalnym. Kariera niezbyt oszałamiająca ale zawsze coś. Pracowity, punktualny, sympatyczny młody człowiek szybko zdobywa uznanie zwierzchników i zostaje awansowany na posadę w Urzędzie Przesiedleńczym. W ten sposób, zupełnie przypadkiem, posiada polski wywiad swojego człowieka w miejscu, które jest dla niego bardzo interesujące. Kaczmarek zostaje zatem "zbudzony" znacznie szybciej niż się zapewne tego spodziewano.

Posada Kaczmarka była opłacana niezbyt wysoko. 2300 marek miesięcznie brutto, co dawało zaledwie około 1800 marek na rękę /jako kawaler musiał płacić Kaczmarek wysoki podatek/, nie pozwalały na oszałamiający standard życia. Nic dziwnego, że sąsiedzi i znajomi pamiętali jego znośzone i kieszkie ubrania, niezbyt dobrze umeblowane mieszkanie i niekłopotliwy sposób bycia. Od czasu do czasu jednak miał zwyczaj, w chwili depresji, wpadać do któregoś z przyjaciół i pić wódkę, niemal do nieprzytomności.

Praca w Urzędzie Przesiedleńczym daje dostęp do szeregu interesujących informacji. Umożliwia to procedura obowiązuja w sprawach o "pochodzenie niemieckie", która stawia do dyspozycji urzędnika załatwiającego te sprawy wszystkie inne wypowiedzi i zeznania starającego się o

"niemieckie papiery" złożone w jakimkolwiek urzędzie niemieckim. Wiele polskich azylantów politycznych szukając możliwości poprawienia swoich szans życiowych wynajdywało u siebie niemieckich przodków. Wtedy na biurko Kaczmarka trafiały akta sprawy azylowej. Niektórzy nasi rodacy mieli zwyczaj opowiadania wszystkiego co wiedzieli, bez względu na to czy było to potrzebne, czy też nie. Podawali też nazwiska i adresy pozostałych w kraju, a pracujących w konspiracji kolegów, adresy skrzynek kontaktowych, a nawet tajnych drukarni.

Drugim istotnym polem działania były informacje pozornie nieistotne, ale ważne z punktu widzenia polskiego wywiadu. Niektóre sprawy o uznanie za przesiedleńców opierały się o niezbyt pewne dokumenty. W takich przypadkach decydujące znaczenie miało osobiste wrażenie urzędnika. Jeśli ten w trakcie rozmowy stwierdził rzeczywiste przywiązanie petenta do niemieckiej kultury i języka, mógł potraktować wspomniane dokumenty z przyzwyczajeniem oka. Człowiek się cieszył, dostawał niemieckie dokumenty, pieniądze i możliwość szybkiego startu życiowego. Wkrótce potem wybierał się w odwiedziny do Polski, aby przy pozostałych tam kolegami i rodziną błyśnąć nowym szczęściem, zobaczyć ich skisze, zawistne miny. Po kilku dniach otrzymywał zaproszenie na rozmowę w miejscowej SB. Przy kawce, po przyjacielsku toczy się pogawędka o życiu. Nagle uprzejmy officer SB rzuca mimochodem, że całe to pochodzenie niemieckie w zasadzie jest jakieś naciągane. Oni zupełnie przypadkiem natrafili na dokumenty, które - gdyby dostały się w ręce niemieckie - zakłamałyby cały ten tak starannie budowany dobrobyt. Co-fnięto by uznanie obywatelstwa, zabrano pieniądze, samochód, meble i nie wiadomo jak by się to wszystko skończyło. Poblady delikwent nie wie co robić. Ależ nie, nikt nie ma zamiaru tego rozgłaszać. Nie pan, my też jesteśmy ludźmi. Właściwie oczekuje się tylko niewielkiej u-przejmości i to nie teraz, i w ogóle nie wiadomo czy kiedykolwiek. Być może zjawi się kiedyś jakiś człowiek.

Nowy agent jest już zwerbowany.

Kaczmarek - Arnold nie miał najmniejszego zamiaru zadowolić się niedzną posadą w Urzędzie Przesiedleńczym. Postanowił zrobić karierę polityczną. Zapisał się do SFD i próbował wejść do dzielnicowych władz w tej partii. Przepadł w wyborach. Mimo to, jako aktywny członek niemieckiej socjaldemokracji, miał szansę zdobywania kolejnych interesujących jego mocodawców wiadomości.

Kiedy po puczu 13 grudnia zawiązało się w Bremie Biuro Solidarności, Kaczmarek vel Arnold zapomniał o swojej "niechęci" do wszystkiego, co związane było z Polską i popieszył z pomocą. Zajmował się głównie tłumaczeniem i z tego tytułu był na bieżąco nie tylko w sprawach stosunków Biura z władzami niemieckimi, lecz także we wszystkich innych sferach działalności.

Musiło być jakieś fizyczne podobieństwo między Arnoldem a Kaczmarkiem, gdyż ten ostatni decyduje się na wielce ryzykowny krok jakim było spotkanie z mieszkającą w NRD "matką". Komedii pt. "utracony syn" odgrywa bardzo dobrze i starsza już pani Arnold postanawia przenieść się do odzyskanego po dwudziestoletniej rozłące "ayna". Nadmiar wrażeń musiał jej jednak bardzo zaszkodzić, umiera bowiem w kilka dni po przyjeździe do Bremy. Mimo starannego przygotowania musiał Kaczmarek popełnić jakiś błąd i spotkanie z "matką" zwróciło na niego uwagę niemieckiego kontrwywiadu. Rozpoczęto długą, wielomiesięczną obserwację. 15 marca 1985 roku Jerzy Kaczmarek zostaje aresztowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz polskiego wywiadu. Nieco za wczesnie, bo w niedługim czasie miał się u niego zjawić specjalny kurier z Warszawy. Ale kto to mógł wtedy wiedzieć.

Krzysztof Dom

## Real soc czyli przedłużanie szyjki

Alarmy o zagrożeniu kultury polskiej przyjmowane są ze zrozumieniem i pobłażaniem. Kultura utożsamiana jest z potrzebami kulturowymi. Potrzeby kulturowe zaspokajamy w czasie wolnym od pracy. Czyli kultura to rozrywka. Jakże ma się przejmować losem rozrywki społeczeństwo, które jest świadkiem ruiny gospodarczej państwa, dewastacji środowiska naturalnego, braku wolności obywatelskich czy rozpadu systemu oświaty. Związku pomiędzy kulturą a normami społecznej egzystencji nikt nie eksponuje. Władza - bo nie jest w jej interesie społeczeństwo o wysokim poziomie kultury, czyli z rozwiniętą świadomością etyczną, znajomością tradycji i praw, zintegrowane i solidarne w działaniu.

W rezultacie następuje, w tej jednej dziedzinie, ciche ale autentyczne "porozumienie" pomiędzy władzą a społeczeństwem. Jeśli już pozwalamy sobie na luksus kultury, niechże będzie ona przyjemna dla ucha i oka. W tych smutnych czasach. Takie przedłużenie szyjki od butelki.

Bywalcy sal teatralnych i koncertowych, łowcy książek nie do zdobycia, uczestnicy spotkań, dyskusji, wystaw - to znikoma mniejszość. Większość ogląda telewizję i chodzi do kina. Dla telewizji szkoda uwagi. O kinie natomiast powiedział Włodzimierz Iljicz Lenin, że to najważniejsza ze sztuk. Chodziło mu o możliwość skutecznego i na skalę masową zakłamywania historii i życia społecznego dla celów propagandy.

Kino jest rzeczywiście jedną z ważniejszych sztuk. A raczej może nią być. Może być sumieniem społecznym. Zadawać pytania, prowokować myślenie. Tak, jak włoski neorealizm, amerykańskie kino lat sześćdziesiątych, kino Bergmanna czy Kurosawy. Kino może być jednym z fundamentów kultury, źródłem ciągłej autorefleksji o normach życia jednostki i społeczeństw. Przeżywa w tej chwili głęboki kryzys. Nie pierwszy i nie ostatni. Dzieje się tak zawsze, kiedy zapomina, że jest sztuką a zaczyna być rozrywką i show-buisnessem. Reakcje zachodniej krytyki i publiczności pozwalają przypuszczać, że zjawisko to powoli kończy się.

W Polsce kryzys kina wykorzystywany jest do zniszczenia podstaw artystycznej i materialnej egzystencji kinematografii.

Działanie to jest fragmentem najpoważniejszego od czasów socrealizmu zamachu na kulturę polską. Po raz pierwszy w powojennej historii kinematografia polska wzięta została w kleszcze: ostra, prewencyjna cenzura z jednej strony, pseudoreforma gospodarcza z drugiej. Gwoździem do trumny jest publiczność, która chce się bawić. Nawet za cenę poziomu artystycznego i intelektualnego.

Nikt nie ma wątpliwości, publiczność trzeba kształcić. Mieliśmy publiczność doskonałą, wykształconą na "szkole polskiej" i "kinie moralnego niepokoju". W tej chwili też odbywa się kształcenie publiczności. Wystarczy spojrzeć na repertuar filmów zakupionych: od science fiction, poprzez filmy karate do komiksów w stylu Indiana Jones. To nieprawda, że tylko takie filmy produkuje Zachód. To staranna, przemyślana selekcja. Zasiłaniająca się ekonomią. Kupuje się także filmy z krajów realnego socjalizmu. Wśród nich zdarzają się bardzo dobre, /radziecki "Dworec dla dwójga" czy jugosłowiański "Jeszcze tylko raz"/. Filmy takie pokazywane są w kilku kopiach, w peryferyjnych kinach. Nasza cenzura cenzuruje cenzurę bratnich krajów. Jest czujniejsza na-

wet od radzieckiej. Bo te nieliczne filmy też nie pasują do obowiązującej wizji kultury.

Kinematografia polska nie została zreformowana. Jej absurdalna, powielająca się i kosztowna organizacja pozostała niezmienna. Ekonomicznie paradoksalny brak związku pomiędzy produkcją i dystrybucją przetrwał nienaruszony. Scalenie w jedno przedsiębiorstwo Zespołów Filmowych, Wytwórni, i Centrali Rozpowszechniania Filmów spowodowałoby spadek kosztów przeciwnego filmu z czterdziestu milionów złotych do około piętnastu! To nie rewelacyjne odkrycie. Wszyscy zatrudnieni w tym resorcie zdają sobie z tego sprawę. Zamiast tego zreformowano wymagania wobec twórców filmowych. Kino ma być samowystarczalne. Realizowane będą tylko takie filmy, które mają szansę zdobyć widownię. To znaczy zarobić na sobie.

Jednocześnie wielopiętrowy aparat cenzury pilnuje aby nie powstały filmy, które mogłyby odciągnąć publiczność od rozrywki. Filmy o polskiej współczesności "stanu powojennego". Cenzura dysponuje metodami represji ekonomicznej. Działają one zanim spadnie pierwszy klaps na planie. To jedyne osiągnięcie reformy gospodarczej. Filmy niewygodne nie są dotowane. Zespoły Filmowe mogą realizować je za własne pieniądze. Proste i skuteczne. Zwłaszcza, że Zespoły zarabiają niewielki procent z rozpowszechniania swoich filmów. Nie ma obawy, nawet jeśli niepożądany scenariusz przesłiżnie się przez sito finansowe, przez umysł wiceministra kultury, zawsze istnieją wypróbowane, pocziwe półki. Bufemizm ten oznacza, że film nie jest oddawany do projekcji kolaudacyjnej w ministerstwie kultury. Zostaje w kabinie projekcyjnej. Obsługujący tam projektory potykają się w ostatnich latach o stoły paidek.

Wymaganie, aby kultura była samowystarczalna w każdym kraju realnego socjalizmu jest absurdalne. Dlatego, że nie istnieją w tych krajach wolnorynkowe systemy produkcji, reklamy i dystrybucji. Istnieje za to cenzura.

Wymaganie samowystarczalności kinematografii w Polsce jest nieporozumieniem. Lub zasmachem na kinematografię.

Kino jest sztuką i przemysłem. Artystyczny poziom filmów zależy także od technicznego poziomu jego produkcji. W polskiej kinematografii pracuje się przy stosunku taśmy zużytej do końcowej długości filmu cztery do jednego. Na świecie nikt nie zgodziłby się zacząć filmu bez proporcji dziesięciokrotnej. Dwudziestokrotna proporcja i więcej to normalna praktyka każdej poważnej produkcji filmowej. Nikt też nie zgodziłby się kręcić na taśmie ORWO, do której najczęściej ograniczani są filmowcy polscy. Co to wszystko oznacza w praktyce wiedzą tylko specjaliści. To tak, jakby pisarzowi dać do napisania książki tylko jedną butelkę atramentu, dwie tępe stalówki i jeden zeszyt w kratkę.

Kamery filmowe, które wytrzymują porównanie z poziomem obowiązującym na świecie są trzy. Stan parku oświetleniowego, laboratoriów, stołów montażowych, studiów dźwięku, wyposażenie pracowni scenograficznych, pracowni efektów specjalnych, magazynów kostiumów i rekwizytów przypomina rozpadające się mizernie zawodowej niektórych z obsługujących to determinacji i lojalności. Podobnie pracownicy ekip filmowych. Pracują nadal, bo połączni bakcyli kina. Ale kino polskie przyciąga coraz mniej ludzi, reprezentują oni coraz niższy poziom zawodowy.

W roku 1956 wiadomo było już, że kino polskie przetrwało czasy socrealizmu. Socrealizm miał ambicję stworzenia sztuki filmowej, którą

można wykorzystać dla propagandy. I związku z tym możliwości finansowe i techniczne filmu były nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do dochodów z dystrybucji. Po odwołaniu nieomyślności Wódza Ludzkości kino polskie dysponowało tłumem znakomitych fachowców, rozwiniętą bazą techniczną i wykształconymi twórcami filmowymi. Wszyscy ludzie kina wiedzieli, że film to sztuka. Była też otwarta, chłonna publiczność. Parę lat później zaczęła się era "Polskiej szkoły Filmowej".

W roku 1986 istnieje realna możliwość, że kino polskie nie przetrwa czasu realso-cu /tak może kiedyś nazwie się "estetykę" realnego socjalizmu/. Filmy realizowane w obecnych warunkach politycznych, finansowych i technicznych przestają być sztuką filmową. Usiłują stać się kiepską rozrywką. Ku zadowoleniu publiczności, której gusty degradują się w tym samym tempie. Nie jest to stan przejściowy. Trudno będzie w przyszłości odbić się od niczego.

Zamach na polskie kino jest fragmentem większego planu. Mamy do czynienia ze świadomym, przemyślanym i konsekwentnie realizowanym programem niszczenia polskiej kultury. Jego celem jest wykształcenie społeczeństwa o coraz prymitywniejszych potrzebach, z malejącym poczuciem tożsamości kulturowej. Oznacza to osłabienie związków społecznych, zanik umiejętności solidarnego współdziałania. W rezultacie zmniejsza szansę społecznego protestu. O jaki procent, nie wiadomo. Wciążnie znaczny, skoro opłaca się poświęcić kinematografię o tak znakomitej tradycji w ramach programu realso-cu - czyli przedłużania szyjki od butelki.

X X X

#### FUNDUSZ PRASOWY WYZWOLENIA

Ruch Polityczny WYZWOLENIE nie jest dotowany ani subwencjonowany przez żadne organizacje krajowe lub zagraniczne. Swoją działalność finansuje wyłącznie z dochodów wydawniczych i dobrowolnych wpłat.

Ceny prasy i wydawnictw RP Wyzwolenie kalkulowane są na możliwie najniższym poziomie. W tej sytuacji prosimy Czytelników o dobrowolne wpłaty na Fundusz Prasowy WYZWOLENIA. Przyczynią się one do umocnienia i rozbudowy jego poligrafii. Każdą wpłatę kwitujemy na naszych łamach. Dziękujemy!

X

DZIEKUJEMY za wpłaty na Fundusz Prasowy WYZWOLENIA: Kłos - 1;  
NWZK - 2; Sójka 2 - 1; Pamięć - 0,5; Mazurek - 2; SWS - 20,1;  
Misia - 2; Zlewozmywak - 1; Siostra - 1,5; Misiu - 2 Oni - 5;  
Jawor - 60.

cena zł 120.-